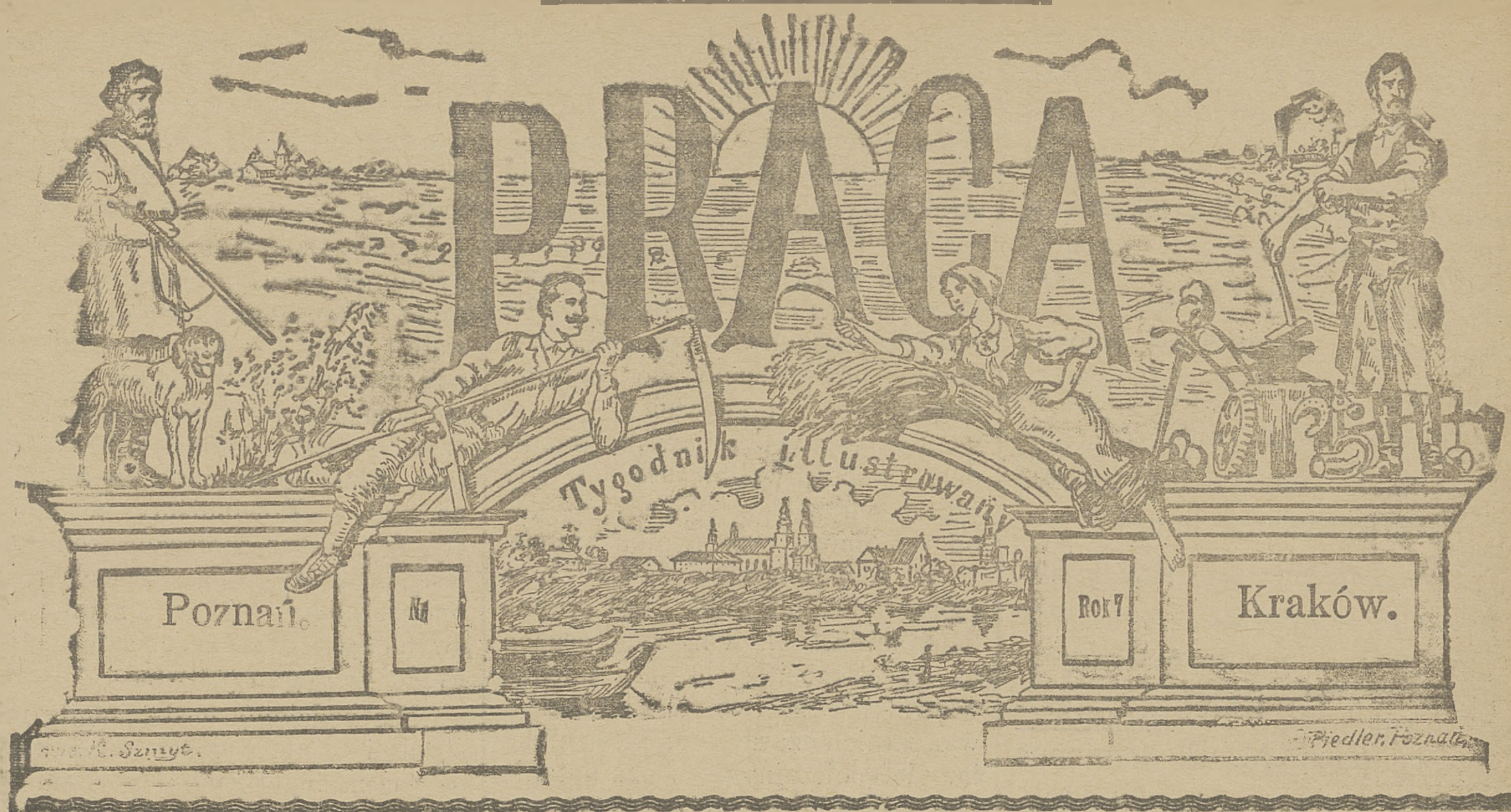
Nr. 46. Poznań, dnia 15-go listopada 1903. Rok VII.



Treść nr. 46-go.

Policya w „Pracy."

Aresztowanie

pana M. Biedermanna.

Zdawało się, że minął okres, w którym „Praca" wystawiana była na rewizye, procesy i t. d. z poręki prokuratoryi, że władze przyszły do przekonania, iż „Praca" nie zagraża państwu pruskiemu.

Tymczasem, po dłuższej niebytności dnia 10 b. m. policya w liczbie aż około trzydziestu tajnych policyantów i komisarzy nawiedziła znowu „Pracę". Poddano jaknajściślejszej rewizyi nietylko lokale redakcyjne i administracyjne, ale także dom wydawcy na Jeżycach i pomieszkanie jego, gdzie badano ściany, wnętrze pieców, komorek i t. d.

Myślałbyś, że jesteśmy w czasach rewolucyjnych, że chodzi o odkrycie broni, pojmanie spiskowców i zapobieżenie ruchawce.

A chodziło o odnalezienie rękopisu artykułu „Żelazny kanclerz" w nr. 42 „Pracy" oraz wypośrodkowanie autora „Ordona."

Po kilkogodzinnej rewizyi policya jako jedyną zdobycz zabrała plikę nic nie znaczących szpargałów, lecz przytrzymała naszego odpowiedzialnego redaktora, udała się z nim do jego pomieszkania i tam taką samą odbyła rewizyą bezskutecznie, poczem dopiero uwolniła go z swych rąk.

Nie dość na tem. Nawet w majętności wydawcy — w Antoninie pod Poznaniem zarządzono równocześnie taką samą rewizyę, nie pomijając mieszkania urzędnika gospodarczego, gdzie zbadano wszystkie ubikacye. Przybycie licznego zastępu policyi do Antonina zrobiło niemałe wrażenie na ludzie wiejskim, który zrozumiał z jakiemi przykrościami jest połączonem wydawnictwo szczerze narodowego organu w tem państwie miłości Bożej.

Prasa polska zyska przez to na sympatyi szerokich kół i lud tem żarliwiej będzie garnął się do gazet, widząc, że nie zysk, lecz służba obywatelska jest pobudką wydawcy, a owocem pracy — nieprzyjemności, straty i więzienie.

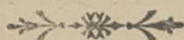
Czego nie zdziałał żelazny kanclerz pod względem uświadomienia ludu polskiego, dokażą takie rewizye i procesy.

Nie koniec na tem.

W środę — w dzień św. Marcina, patrona wydawcy „Pracy“ — policya wieczorem około pół do 10-tej przyaresztowała pana M. Biedermanna w chwili, gdy wychodził z biura, a nazajutrz rano odstawiła go do więzienia śledczego.

Natychmiast zaofiarowano 30 tys. m. kaucyi za wypuszczenie na wolność wydawcy „Pracy,“ który obecnie po raz wtóry cierpi w więzieniu.

Redakcya.



Po wyborczej walce.

Od pół roku społeczeństwo nasze żyje w stanie podniecenia: po wyborach do parlamentu rozpoczęła się walka o posłów do sejmu. — Obecnie partyjne zapasy dobiegają końca. — I kiedy tak zjawiska tygodni ostatnich leżą przed nami dokonane, wracającemu myślą wstecz nasuwa się niejedno spostrzeżenie.

Przedewszystkiem uderza w hasłach partyjnych ubóstwo szerszej idei politycznej. Uzasadnieniom stronniczych postulatów brakło nieraz myśli głębszej, więc zastąpić ją musiała werwa i ostrość tonu. Dzielące nas bądź jak bądź drobne różnice poglądów — w walce wyborczej powiększano do ogromu nieprzebytych przepaści.

Jest to zwykłe zjawisko w każdem współzawodnictwie. Wtedy przestrzeń dzieląca obu zapaśników od wspólnego przeciwnika maleje, a w rozpamiętnieniu walki brat piętnuje brata zdrajcą za drobne uchybienia. Ale w naszych oczach ta przestrzeń, położona między wspólnym przeciwnikiem a nami — w ostatnich czasach zanadto zmalała. Więcej zajmowało nas pytanie czy w tym lub w owym okręgu wybrać Dziembowskiego lub Morawskiego, niż obawa, czy w zagrożonym innym nie przejdzie hakatysta.

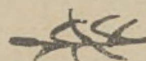
Teraz kiedy walka dobiega końca, wobec braku celu dalszego antagonizmu, powinny się ukoić domowe zawiści i powinniśmy z rozwagą wrócić do pracy na zaniedbanem polu. — Wybory są u nas czemś w rodzaju przeglądu narodowych sił, — staranie około podtrzymania i wzmocnienia społecznej naszej mocy polega na powolnej zmudnej, codziennej szarej pracy. — Dziś przychodzi czas na nią. Więc naród czeka, czy ci, coby owoce pracy narodowej zbierać chcieli, okażą się równie dzielni jako przywódzcy w codziennym społecznym trudzie.

Tymczasem nim który z bohaterów chwili odkryje i wskaże nową dziedzinę zarobku, — przypomnijmy sobie najbardziej zagrożone posterunki. Nie uratujemy ich dziennikarską wrzawą ani najwspanialszą mówką wiecową. — Najdrobniejszy czyn więcej znaczy niż niebotyczny pomysł, który nie wyjdzie nigdy poza ramy dziennikarskiej dyskusyi i nie ujrzy życia.

Przed niedawnym czasem każdy numer pism naszych podawał przez kilka tygodni uwagi o ratowaniu ziemi. — Czy powstało co z tej gadaniny? — Ukazały się niezłe pomysły, czy przeszedł który w czyn? — Siła nasza kończy się tam, gdzie rozpoczyna się dziedzina woli. — Powinniśmy w sobie wyrobić wstyd społeczny, ten sam wstyd, który uczuwa człowiek, opowiadający ciągle o zamiarach swych światoburczych, a nie zdolny do żadnego wysiłku.

Nie będziemy może nigdy mistrzami wytrwałości, bądźmyż przynajmniej chętnymi uczniami.— Patrząc na pobratymczy naród, na Czechy, — i zarazem na dumę naszą: na rozwój spółek, obierzmy sobie za dewizę: połączony grosz jednostek tworzy milion. —Na tej zasadzie oprzyjmy działalność naszą dążącą w kierunku politycznego zorganizowania jak i zmierzającą do podniesienia ekonomicznej potęgi.

Jur. J.



Nowy cios.

Wiadomość, że klerycy mają uczęszczać na akademią poznańską, założoną w celu „wzmocnienia“ niemczyzny na kresach wschodnich, przykrym dreszczem przejęła społeczeństwo. Wszelkie ustępstwo na rzecz czynników germaniza-

KRONIKA.

Deszcz, błoto — błoto, deszcz, a oprócz tego zimno i ciemno. I ta uciecha potrwa jeszcze kilka miesięcy. — Ale są podobno ludzie i inne białe niedźwiedzie, co nie tęsknią za słońca jasnym promieniem, co nie pragną ni światła, ni ciepła.

Deszcz — błoto. Cofam się jak zwierz leśny w najgłębszy zaciszny kąt mieszkania mego. Lampa przyćmione rzuca blaski. Dobrze tak. Ciepło tu i spokój. — O szyby uderza wicher z deszczem. — „Próchno“ Berenta. — Najwspanialsza lektura w takie cudowne chwile zapomnienia o świecie. — Dym papierosów układa się w spokojne warstwy błękitnej gazy. W myślach pokutuje mi ostatnie zdanie przeczytane i przez wszystkie kombinacye myśli powraca jak refren piosenki: „A od czasu gdym ciebie poznał, temi chwilami tylko żyję. Chcę ciebie wywołać potęgą uczuć moich, jasnowidzeń moich przemocą przed oczyma postawić. Znam słodycz wielu marzeń z tobą, przy tobie dla ciebie: chociażeś mi daleka duchem, jużeś moja!“ — I wstaje z ciemnych kątów pokoju, nastrój w marzeń tęczowe przystrojony barwy...

Nagle dzwonek! — Cóż u licha. Spojrzałem na kalendarz; 10-ty toć chyba żaden rachunek! Z jednej i z drugiej strony do 1-go dość daleko.

Nie. — To taki żart spłoszył dumania mego trwożliwe ptaki. Zaproszenie na posiedzenie, zebranie coś w tym guście.

I prysła mydlana bańka tęczowobarwnych marzeń. Nawet skorup nie ma.

„Posiedzenie odbędzie się . . . . na porządku dziennym“ i t. d.

Zresztą czas odpowiedni. Skoroś my się raz już tak na świecie umówili, że gdy się kończą długie dnie, lawn — tennisy, wody, wycieczki i tym podobne obowiązki letnie, wówczas poczyna się tak zwany słusznie „ruch w towarzystwach.“

cyjnych musi być ogółowi niesympatycznem, a cóż dopiero w tym wypadku, który poczytywano dość powszechnie za pierwszy krok do zamknięcia seminaryum. Wróżono bowiem, że skoro klerycy poczną uczęszczać regularnie na wykłady, rząd postara się o fakultet teologiczny i wówczas seminaryum stanie się zbytecznem.

Zrazu niejasnem było dla kogo i w jakim specyalnym celu rząd powołał do życia akademią. Obecnie rozumiemy, iż za pomocą tej instytucyi chciał zaatakować nas na punkcie duchowieństwa, by zadać naszemu srodze doświadczanemu społeczeństwu nowy cios. Znając system pruski nie możemy się łudzić pod tym względem.

Wobec prawdopodobnych wieści nie dawaliśmy wiary nieśmiałym, ułudnym zaprzeczeniom „Kuryera", który pragnął zatuszować sprawę i odjąć jej jaskrawość. Wbrew „Kuryerowi" złe przeczucia i zapewnienia gazet ludowych utwierdzały ogół w mniemaniu, iż wieść ta jest niestety aż nadto prawdziwą. Aż wreszcie „Kuryer" zarówno jak „Dziennik" wystąpiły z trwożliwem wyznaniem, iż „*pozwolono*" klerykom brać udział w prelekcyach, czyli raczej, że zniewolą ich do uczęszczania na akademią.

Niebawem dostały się do publicznej wiadomości wyjaśnienia jak to „*pozwolono*" klerykom brać udział w wykładach. Nakłaniano ich „wszelkimi sposobami", by zapisali się na wykłady a, gdy polscy klerycy wykreślili się z listy słuchaczów, *nakazano* im chodzić na prelekcye pod grozą wydalenia z seminaryum. Jak zapewnia „Postęp" klerycy, nie poszedłszy do akademii, zostali zamknięci przez pół dnia w areszcie i to głównie dlatego, że wystosowali do całej kapituły dosadni protest, „piętnujący postępowanie władzy." Skrypt ten podpisało 80 kleryków a przedłożyła go władzy duchownej deputacya z sześciu z swoim dziekanem na czele. Skutek tego był taki, że dziekan został ukarany aresztem i zdegradowany a na jego miejsce pieczę nad klerykami powierzyła władza duchownemu „*nie polskiej narodowości.*" Klerycy zaś musieli prosić o przeproszenie i obecnie — można ich widzieć w murach akademii.

Aby raz na zawsze złamać opór kleryków i zapobiedz wyłamywaniu się z pod rozkazów, od Wielkanocy każdy abituryent, wstępujący do seminaryum, będzie zmuszony *piśmiennie zobowiązać się do uczęszczania na akademią*, jeźli wogóle chce być przyjętym do seminaryum.

Tak przedstawia się ta sprawa, której „Kuryer" nie umie nadać innego wyglądu. A jeźli powyższa opowieść w głównych szczegółach jest prawdziwą, w co wierzymy, trudno ten obrót rzeczy nazwać inaczej jak *nowym ciosem*.

Nikt nie może przypuszczać, aby w celach naukowych zmuszano młodych kleryków do uczęszczania na akademią. Gdyby bowiem nauki, jakie pobierają w seminaryum, były okazały się niewystarczającemi, władza duchowna byłaby poprostu zaprowadziła potrzebne wykłady i postarała się o odpowiednich prelegentów. Zresztą pomiędzy przedmiotami wykładanemi w akademii poznańskiej, nie ma ani jednego, który byłby niezbędnym albo chociaż potrzebnym dla przyszłego duchownego. Więc nie względy na wykształcenie kleryków popchnęły władzę duchowną do tak energicznego wystąpienia przeciw 80 klerykom i ich dziekanowi, którzy widocznie czuli, iż ustępstwo to jest początkiem końca seminaryum.

Seminaryum nie było jakimś specyalnym rozsadnikiem idei zwalczanych przez rząd, ale mimo to Niemcy uznali za stosowne rozciągnąć swe wpływy choć w części na umysły kształcącego się duchowieństwa, w nadziei, że wychowają generacyę polskich duszpasterzy przesiąkłych niemczyzną.

Hakatyści nie pojęli jeszcze, że wszelki nacisk wywołuje reakcyę. W tym wypadku co prawda nikt z nas nie przewidywał także, iż młodzi klerycy tak żywo odczują nakaz swej władzy i tak opierać się będą przeciw wykładom w hakatystycznej akademii. I to jest jedynym jasnym punktem w tej sprawie.

Dzięki temu przekonaliśmy się jaki duch mieszka w gronie młodzieży, z której będą się rekrutować w przyszłości nasi duszpasterze i z radością stwierdzamy, że młodzież ta, zespolona z jądrem społeczeństwa, jest z krwi i kości naszą, że w piersi jej żyją te same uczucia i te same ideały, które nas zagrzewają do wytrwania na posterunku. Duchowieństwo wielkopolskie górowało od dawna nad klerem w innych dzielnicach polskich pod względem uczuć obywatelskich a klerycy poznańscy dają nam rękojmię, iż pojdą tym samym szlakiem, nie zerwą złotej nicy łączącej kler z ludem i narodem ku zobopólnemu pożytkowi. Cześć im za to!

Nie wchodzimy w przyczyny, jakie nakłoniły władzę duchowną do nakazu wydanego klerykom. Musiały one być poważne. Wszelako ubolewamy, że starano się, takiemi środkami przezwyciężyć naturalny wstręt tej młodzieży do progów akademii hakatystycznej, że

---

Rozpierzchli po świecie Bożym członkowie zbierają się znowu w jedno ciało. Najodpowiedniejszem miejscem na takie zebrania jest pokój lub salka, gdzie oprócz żywych stoją równie milczące popiersia gipsowe umarłych. Ich rozwarte bez światła pozbawione oczy śnią jakiś kamienny sen, który udziela się całemu towarzystwu. — Z pod grubych pokładów kurzu dobywa się księga protokółów i sprawozdań.

Członkowie kiwają ze zrozumieniem głowami, prezes nos wytarł, zupełnie zwyczajny członek kichnął, a sekretarz ma głos, odczytuje sprawozdanie. A gdy sekretarz skończy, to może mieć głos każdy ale jest zupełnie — cicho

I zdaje mi się w takich chwilach, że sala przedstawia scenę. Stoi kołyszący się słomiany Chochoł. W raciach patyki trzyma i wykonuje ruchy jak skrzypek grający, a obok stoi Jasiek i lamentuje:

**„nic nie słysom, nic nie słysom,
ino granie, ino granie,
jakieś ich chyciło spanie."**

Kiedy już raz potrąciłem o senność, to nie podobno nie poświęcić wzmianki komitetowi wystawy sztuk pięknych. — Wojna, wypowiedziana panu Krzyżanowskiemu przez Prusy, skończyła się po wymianie licznych not dyplomatycznych zupełnem zwycięstwem potężnego państwa. Pan Krzyżanowski uległ ostatecznie i musiał opuścić granice rozszerzonej Brandenburgii. Całe szczęście, że Berlin tak wnet się spostrzegł. Ten młody Wallenrod czekał bowiem tylko zimy, aby wykonać straszny plan zniszczenia państwa. — My zaś nie wiedząc nic o zbrodniczych zamiarach tego męża, oddaliśmy mu kierownictwo salonu. — No i jesteśmy strasznie osieroceni, a komitet jeszcze bardziej bezradny.

**Co to będzie — co to będzie?
Ciemno wszędzie, głucho wszędzie.**

Nagórny.



zadano srogi ból młodym duszom, co mogłoby mieć ujemny wpływ na rozwój charakterów. Niewątpliwie jednak młodzież tak czująca znajdzie w sobie dość siły odpornej przeciw wpływom atmosfery akademickiej, nie uroni nic z polskiego ducha, lecz przeciwnie poddając się konieczności przez cierpienie wzmoże się na duchu, przyrośnie tem silniej do rdzenia narodu.

Nie mniej wszakże uczęszczanie kleryków do akademii jest ciosem, bo istnieje zawsze niebezpieczeństwo, że mniej szlachetne i mniej umysłowo rozwinięte jednostki ulegać będą częściowej germanizacyi zwłaszcza jeźli niektórzy z ich przełożonych, zapisując się dla „przykładu“ na wykłady, postronnie będą oddziaływać na nich w myśl germanizatorów. Powtóre nie można wątpić, że nakaz władzy duchownej odstraszy wielu młodych ludzi od seminaryum, od stanu duchownego i tak w rezultacie *będzie jeszcze większy brak polskich duszpasterzy* jak dzisiaj.

Jeżeli zważymy, że obecnie wielu księży nie polskiej narodowości zajmuje znaczne probostwa, że rząd będzie się starał coraz więcej, by faworyzowano księży niemieckich lub bezbarwnych kosztem Polaków — przyszłość nie zarysowuje się jasno, coraz mniej będzie zacnych szczero polskich duszpasterzy i coraz mniej z nich będzie mogło oddziaływać na masy. Z tem należy się liczyć i aby zapobiedz ewentualnym wpływom księży germanizatorów na lud, musimy jaknajszybciej dążyć do zupełnego usamodzielnienia ludu, który nieraz jeszcze utożsamia księdza z religią.

Niemcy, złamawszy jeden filar polskości: szlachtę, starają się podminować drugi: duchowieństwo. Aczkolwiek w obliczu coraz liczniejszych szeregów uświadomionego polskiego ludu, nie wołamy dlatego: finis Poloniae, winniśmy jednakże, —ucząc się obywać bez szlachty,— mieć na oku, że przyjdzie nam także obywać się bez szczero polskiego duchowieństwa.

Quis.

Zamięszanie
na Ślązku.

Na Śląsku znów zapanowało wielkie zamieszanie. Zgoda między obozem „Katolika“ a obozem narodowym nie wyjaśniła należycie sytuacyi, nie wytworzyła zupełnej jednomyślności. Przyczyną tego ta okoliczność że zmiana frontu „*Katolika*“ nie była dość stanowczą, a co smutniejsze jeszcze zupełnie *szczerą*.

Społeczeństwo polskie powitało ją z wielką radością, w nadziei, że skończy się nareszcie walka domowa w tej przez cały naród tak gorąco umiłowanej dzielnicy, że wraz z nią skończy się tam także panowanie obcego, niemieckiego stronnictwa. Tymczasem przekonano się rychło, że nadzieja ta była przedwczesną, że „Katolik“ mimo *urzędowego* zerwania z centrum, nie przestaje mu służyć. Pokazuje się dziś dopiero, jak bardzo to pismo polskie, stanowiące *prawdziwą potęgę*, ugrzęzło w moralnej zależności od niemiecko-katolickiego stronnictwa. Widocznem jest, że pragnęłoby służyć sprawie narodowej, lecz że trudno mu rozerwać krępujące go zawsze jeszcze pęta centrowe.

Sytuacya na Śląsku tak się dziś przedstawia: W akcie zgody między obu obozami polskimi postanowiono, ażeby przy tegorocznych wyborach *zachować abstynencyą, to jest wstrzymać się od samodzielnej akcyi wyborczej pod sztandarem narodowym.* Wyjątek uchwalono jedynie dla okręgu *pszczyńsko-rybnickiego*, gdzie polscy kandydaci mają największe szanse zwycięstwa. Postanowienie to powzięto głównie ze względu na „Katolika“, aby nie utrudniać mu zmiany frontu, nie zmuszać go do otwartego wystąpienia przeciwko Centrum, za którem jeszcze przy ostatnich wyborach tak zawzięcie kruszył kopie.

„Katolik“ byłby więc postąpił zupełnie lojalnie i prawidłowo, gdyby był oświadczył: „W tym roku nie mieszam się do wyborów; mili czytelnicy, głosujcie, lub nie głosujcie, jak się wam podoba.“ Właściwie powinien był nawet oświadczyć: Ponieważ uchwalono wstrzymanie się od akcyi wyborczej, więc polscy wyborcy w okręgach, w których nie postanowiono polskich kandydatów, wcale nie powinni głosować; tego atoli, tak daleko sięgającej lojalności wobec owej uchwały nikt od niego nie wymagał, i wszyscy byliby zadowoleni, gdyby był zajął tylko zupełnie bezstronne stanowisko.

„Katolik“ tymczasem inaczej pojął tę uchwaloną abstynencyę. Pojął ją tak, jakoby obowięzywała jedynie *polski komitet wyborczy* i wstrzymywała go od postawienia kandydatów narodowych we wszystkich okręgach wyborczych. Natomiast, jego zdaniem, *nie*

Z TEATRU.

„Dzwony kornewilskie.“ — Opera komiczna w 3-ch aktach przez Clairville i Gabet z muzyką R. Planquette. — „W noc lipcową.“ — Utwór sceniczny w 3-ch aktach Gorczyńskiego.

W dzisiejszem sprawozdaniu wypada mi sięgnąć pamięcią dość daleko w przeszłość. — Aż do owego wieczoru, który ku wielkiej radości Poznania wskrzesił operę na scenie naszej.

„Dzwony kornewilskie“ grano od owego dnia kilka razy. A zawsze sprowadziły one liczną publiczność do teatru. Sam fakt ten jest dla dyrekcyi najlepszem świadectwem uznania ze strony publiczności, na które zresztą ze wszech miar zasługuje kierownictwo sceny naszej.

Czego to nie dokonają dobre chęci i silna wola. Niedawne to jeszcze czasy, kiedy nowo wówczas utworzona kapela teatralna zgrozą przejmowała w entreaktach umysły muzycznym wyposażone zmysłem.

A jednak sumienna i usilna praca sprawiła, że orkiestra w „Dzwonach kornewilskich“ rzecz swoją opanowała i oddała prawie bez zarzutu. Lwia część zasługi za fakt ten przypada panu Mieczysławowi Eichstaedtowi, który też na kilku pierwszych przedstawieniach objął kierownictwo muzyką.

Wokalna strona wypadła również nad spodziewanie dobrze. Dość przypomnieć wspaniały głos pana Jastrzębskiego, lub pana Turskiego jako niezrównanego Gasparda.

Pierwszy krok na tej drodze powiódł się zupełnie. To też z radością witamy wieść, że najbliższe dnie dadzą nam swojską nutę i rodzimą treść sztuki.

Ostatni wieczór premierowy dał nam rzecz zupełnie nową. Staje przed nami młody autor. — Prosi o posłuch. Pragnie wyśpiewać ból, który rozpiera piersi jego, a ból to szlachetny, zrodzony z niedoli bliźnich.

Myśl szlachetna. Temat nie nowy, ale zawsze zajmujący. A opracowanie? — bardzo dobre. A jednak — to jeszcze nie wszystko.

Wojskowość odrywa od młodej żony Jagny Ignacego Sworzenia. Rozkaz cara pcha młodego chłopa polskiego w dalekie nieznane kraje. Małżeństwo rozerwane na kilka lat. A Jagna taka ładna, taka młoda. A noc lipcowe takie piękne, takie [illegible]

obowięzuje ona wyborców polskich, ani jego — „Katolika“.

Z tego mylnego wychodząc zapatrywania bynajmniej też nie wstrzymuje się od udziału w akcyi wyborczej lecz — *popiera dalej we wszystkich okręgach kandydatów centrowych — nawet w okręgu pszczyńsko-rybnickim*, gdzie postawiono kandydatów *narodowo-polskich!!* W tym okręgu kandyduje ze strony centrowej pan adwokat *Faltin*, ten sam pan, który przed dwoma laty nie wahał się rzucić w Sejmie pruskim oszczerstwa na naszą „*Pracę*“ a potem znalazł jeszcze obronę w „Katoliku“! Pan Faltin jest już od dawna osobistym przyjacielem — „Katolika,“ prawdziwem jego oczkiem w głowie. Każdy uczciwie myślący człowiek powie i to słusznie zupełnie, że w wypadkach, w których wchodzi w grę *sprawa narodowa*, osobiste względy *zamilknąć* powinny. „Katolik“ atoli innego jest zdania, stawia osobiste względy ponad narodowe i twierdzi, że nie może dziś opuścić p. Faltina, ponieważ go przy wyborach do parlamentu jeszcze gorąco polecał.

Rzecz dziwna, że na „Katolika“ nie oddziaływa nawet wprost *brutalne postępowanie Centrowców wobec ludu polskiego*, że nie ostudziło w nim zapałów centrowych nawet to, co się stało w okręgu *opolskim*. Z tego okręgu posłował do parlamentu i sejmu sędziwy pan major *Szmula*, który jakkolwiek za Polaka po myśli ogołu polskiego się nie uważa, niezmierne zasługi położył około narodowego rozbudzenia się ludu polskiego na Ślązku. Ponieważ pan major *Szmula* należy do centrum i pod koniec życia swego z tego stronnictwa już wystąpić niechce, przeto „Gazeta Opolska,“ która miała w tym okręgu komitet centrowy w swojem ręku, nie poddała się władzy *polskiego* komitetu wyborczego, lecz postanowiła popierać kandydaturę majora *Szmuli* dalej pod *firmą centrową*. Centrowcy powinni się byli cieszyć z tego i ten sukurs przyjąć z wdzięcznością, tymczasem zajęli stanowisko wręcz przeciwne. Na odbytem ad hoc zebraniu obalił kandydaturę majora *Szmuli*, jakkolwiek za tą kandydaturą oświadczył się *cały lud polski w tym okręgu* i narzucili temu ludowi kandydata *Niemca Vogta*. Nie pomogło nawet, że pan Szmula, aby ich przejednać, *wyparł się publicznie* komitetu polskiego a nawet „*Gazety Opolskiej*.“ Przedstawmy sobie tę rzecz jasno: Centrowcy obalają nawet posła, który należy do *ich stronnictwa*, jedynie dla tego, że jest podejrzany o *sprzyjanie ruchowi polskiemu*.

I takie nawet pomiatanie prawami i wolą ludu nie wyrwało „Katolika“ z jego zaklętego koła uległości i czci dla Centrum!!

„*Gazeta Opolska*“ nie dała za wygraną, lecz zamierza na własną rękę postawić kandydaturę majora Szmuli i popróbować, czy nie powiedzie jej się przeprowadzić jej własnemi siłami ludu. Pytanie tylko, co się potem stanie czy, jeżli pan major zostanie wybrany, wstąpi *do Koła polskiego, czy też znów pokornie prosić będzie centrowców, aby go przyjęli do swego grona.* Ostatnie to byłoby przecież równie wielkiem *upokorzeniem* dla pana Szmuli, jak i dla polskich jego wyborców.

„Katolik“ wprawdzie ujmuje się za nim, ale jako za posłem — *centrowym*, a obok tego popiera gorąco kandydatury centrowe we wszystkich innych okręgach.

To jego postępowanie dziwne, *niepolskie, nielojalne* wobec polskiego komitetu wyborczego, wytknął mu ostro „*Głos Śląski*.“ „Katolik“ odpowiedział mu na to podaną już na wstępie mylną interpretacyą uchwały o abstynencyi wyborczej oraz następującemi argumentami:

„Jeżli lud polski nie poprze kandydatów centrowych, to przepadną, a na ich miejsce wybrani zostaną kandydaci rządowi, liberalni, masońscy, hakatystyczni, a więc wyłącznie wrogowie polskiego ludu. Na to, jego zdaniem pozwolić nie można, bo byłoby to niebezpiecznem dla *polskości*.

Argumenty te nie wytrzymują krytyki. Żywioły antipolskie i antikatolickie posiadają już dziś większość w Sejmie, uchwalają też, co im się podoba. Najmniejszej więc ***dla nas nie odgrywa roli, czy Centrum będzie liczyło 100 czy tylko 90 głosów. Jak setka*** centrowców nie zdoła nas ocalić przed nowemi zamachami na naszą narodowość, tak dziewięćdziesiątka nie zdoła na nas sprowadzić nowych ciosów. Dla Centrum natomiast 10 mandatów mniej lub więcej *ogromne ma znaczenie*. Ponieważ *tedy nie chce dobrowolnie przyznać ludowi polskiemu* należących *mu się słusznie praw, ponieważ drwi po prostu z ruchu polskiego, należałoby*

---

chwytają za serce i budzą w duszy pragnień niewysłowionych przecudowne czary. I jest we wsi pan młody. — Jagna jest dobrą, wierną żoną, a pan młody muśnięty powiewem nowych teoryi i wierzeń społecznych pragnie być dobrym panem, prawdziwym obywatelem. — Tak, ale gdy kwiat lipcowy zakwitnie, gdy w cichą zadumę nocy letniej dusza rozkołysze się pragnień tłumionych siłą! Wtenczas los ślepy, przeznaczenie, co zawisło nad ludźmi potężniejsze siły od ludzkiej woli...

Jagna idzie na służbę do dworu, z chłopięciem maleńkiem, co jeszcze widziało tatę...

Po długich latach służby powraca Sworzeń. Chałupa jego najpiękniejsza we wsi. Ład, dostatek i porządek. O bo jego Jagna to tęga dziewucha. Lecz oto kołyska, a w niej maleńkie dziecko! — „Jagno na Boga!“

Reszta słów zamarła mu w piersi. Więc ten cały dostatek — to pohańbienie jego nazwiska chłopskiego. Dramat chłopski gotowy.

Odbywają się chrzciny maleństwa. Sute chrzciny, bo w chałupie dostatek — jest dużo wódki — jest dużo gości. A Sworzeń pije, by zalać robaka. Pijany—markotność wypycha go z izby, gdzie pary przytupują w oberku, aż drzazgi lecą z desek. — Oj radość tam, radość. A jego w piersiach pali. — Dziecko śpi spokojnie w kołysce — pilnujący kaleka Antek odbiegł na chwilę. Wówczas powstaje jakaś straszna myśl w pijanej głowie Sworzenia. Porywa dziecko z kołyski i biegnie w ciemną noc.

Małego trupa znaleźli dobrzy ludzie na dnie urwiska. — Rozpacz matki, a Sworzeń z chłopską determinacyą oddaje się w ręce władzy. Sam Jaśnie wielmożny musi nakazać odprowadzenie go. Zwykły ustęp z życia ludu skończony. Zasłona zapada.

Na takiem tle rozpiął autor bukiety poezyi. Ale akt nie równy aktowi. Pierwszy zdradza nieznajomość stosunków wiejskich, a postać ekonoma Piwnickiego przez cały ciąg sztuki jest tępem nieprawdziwym i niesmacznym. Również poetyczne rozczulania się Jagny nad naturą w „noc lipcową“ są wyjęte z ustek warszawskiej panny, która się objadła poezyami, ale niestosowne, choć piękne, w ustach naszej chłopki.

Role były rozdane bardzo dobrze. Panna Marjewska jako Jagna złożyła dowód wielkiego talentu, jej gra pełna przejęcia w połączeniu z niezwykle ujmującą zewnętrznością złożyły się na całość świetną. — Godnego partnera miała p. Marjewska w osobie pana Wiślańskiego, który mianowicie w końcowych scenach porywał znakomitą grą.

Panu Poleńskiemu przypadła mało wdzięczna rola ekonoma, przez co i gra jego traciła nieco ze zwykłej siły.

Pan Prochaska w roli dziedzica stworzył świetny typ, pełen prawdy życiowej.

Kaźm. R.



mu dać dobrą nauczkę i pokazać siłę polskiego ludu. Niemiec a więc także centrowiec tylko przed siłą ugnie. Tymczasem zaniedbanie tego odwrotu i taktyka „Katolika" utrwali centrum w miewaniu, że można dalej bezkarnie deptać prawa i wolę polskiego ludu.

Za to, za zamieszanie, jakie taktyka „Katolika" wywołać znów musi w pojęciach ludu slaskiego za ewentualną porażkę kandydatów polskich, znów na niego spadnie odpowiedzialność.

Ciężkie, bardzo ciężkie z jego winy przechodzi koleje ta nieszczęśliwe polska dzielnica. Czyż wreszcie w jego sercu i duszy nie odezwie się prawdziwa struna polska?

Apelujemy raz jeszcze do jego uczuć polskich!

Raciborzanin.

Walne zebranie delegatów
z W. Ks. Poznańskiego.

zamianowało na dniu 5-go listopada 1903 r. na poszczególne okręgi wyborcze następujących kandydatów poselskich do sejmu pruskiego:

Okręg I średzko-wrzesińsko-śremski: pp. 1) *Józef Głębocki.* 2) *X. Prałat Stychel.* 3) dr. *H. Szuman.*

Okręg II kościańsko-śmigielsko-grodzisko-nowotomyski: pp. 1) dr. *W. Skarzyński.* 2) dr. *Zygmunt Dziembowski.*

Okręg III pleszewsko-jarocińsko-krotoszyńsko-koźmiński: pp. 1) dr. *Antoni Chłapowski.* 2) X. *Prałat Jażdzewski.*

Okręg IV odolanowsko-ostrowsko-ostrzeszowsko-kępiński: pp. 1) dr. *L. Mizerski.* 2) dr. *Felicyan Niegolewski.*

Okręg V gnieźnieńsko-witkowski: p. *Leon Grabski.*

Okręg VI wągrowiecko-mogilnicko-żniński: pp. 1) *Władysław Brodnicki.* 2) *Roman Janta Połczyński.*

Okręg VII wschowsko-leszczyńsko-rawicko-gostyński: pp. 1) *Józef Głębocki.* 2) *Marceli Żółtowski.* 3) X. dr. *Skrzydlewski.*

Okręg VIII wschodni i zachodni poznański i obornicki: pp. 1) X. *Dziekan Mędlewski.* 2) dr. *Felicyan Niegolewski.*

Okręg IX babimojsko-międzyrzecki: pp. 1) *Hr. Maciej Mielżyński.* 2) *Józef Mycielski.*

Okręg X międzychodzko-skwierzyńsko-szamotulski: pp. 1) *Hr. Maciej Mielżyński.* 2) *Józef Głębocki.*

Okręg XI inowrocławsko-strzelińsko-szubiński: pp. 1) *Dr. Krzymiński.* 2) *Dr. Tadeusz Trzciński.*

Okręg XII bydgosko-wyrzyski: pp. 1) *Leon Czarliński.* 2) *Ks. Tesmer.* 3) *Ks. Treder.*

Okręg XIII czarnkowsko-wieleńsko-chodzieski: pp. 1) *Dr. Zygmunt Dziembowski.* 2) *Walery Łebiński.*

Okręg XIV miasto Poznań: p. *Michał Więckowski.*

Podając powyższą uchwałę walnego zebrania delegatów do powszechnej wiadomości, wzywamy usilnie wszystkich prawyborców Polaków, żeby w dniu 12-go b. m. swego obowiązku obywatelskiego dopełnili i jak największą liczbę polskich wyborców (walmanów) wybrali.

O wyborcach (walmanach) zaś mamy głębokie przekonanie, że w dniu głównych wyborów — 20-go b. m. — żadnego polskiego głosu nie uronią bez wyjątku na powyższych kandydatów polskich głosy swe oddadzą.

Poznań, 6-go listopada 1903.

Prowincyalny komitet wyborczy na W. Ks. Poznańskie.

Ks. dziekan Antoniewicz, prezes.

Stefan Cegielski,

Dr. Krysiewicz, sekretarz. *M. Więckowski,* skarbnik

Julian Brzeski. Dr. Antoni Chłapowski. Dr. T. Szułdrzyński, wiceprezes.

Z TYGODNIA.

Cała dywizya piechoty pruskiej i kilka oddziałów konnicy czuwało nad bezpieczeństwem *cara Mikołaja* podczas jego pobytu w *Wiesbadenie* u cesarza *Wilhelma.* Środki ostrożności, zarządzone przez policyą były niezwykle ostre i dla publiczności uciążliwe. To też mieszkańcy tego pięknego a wesołego grodu nie gniewali się zapewne, że zjazd monarchów trwał tak krótko. Car przybył o godzine 5-tej po południu, a wyjechał już o dziesiątej wieczorem. Przyjęcie składało się z uczty galowej i z przedstawienia w teatrze. Jeżli więc monarchowie mówili o polityce, to rozmowa ta nie była długa ani wyczerpująca. Cesarz Wilhelm rewizytował dnia następnego cara w zamku Wolfsgarten pod *Darmsztatem*, ale i ta rewizyta zajęła zaledwie kilka godzin i ograniczyła się na dwóch ucztach. Także obu ministrom, kanclerzowi hr. *Bülowowi* i hr. *Lambsdorffowi* nie wiele pozostało czasu do narad politycznych, bo i oni brali udział w cer-

Z literatury i sztuki.

Towarzystwo wykładów ludowych im. Ad. Mickiewicza, istniejące od lat kilku w mieście naszem, rozpoczęło w bieżącem półroczu zimowem w ubiegłą niedzielę swą czynność. Pierwszy wykład zgromadził tak liczną publiczność, że sala bazarowa szczelnie była zapełnioną a bardzo wielu musiało z żalem odejść do domu. *P. dr. Gantkowski mówił o życiu i dziełach Mickiewicza, adwokat p. Drwęski o Juliuszu Słowackim.* Prelegentów nagrodzono oklaskami.

* * *

Świeżo odbyło się *w teatrze miejskim we Lwowie pierwsze przedstawienie operowe pod zarządem p. Chodakowskiego.* Dano operę Wagnera „Walkirje." Operę tę nabył dyrektor Pawlikowski jeszcze przed dwoma laty dla sceny lwowskiej, ale z powodu braku sił wokalnych mógł ją dopiero teraz wystawić. Obsada ról i wykonanie ich było wzorowe, to też publiczność nie szczędziła wykonawcom hucznych oklasków, Siegmunda odśpiewał p. Bandrowski, Siegelindę pani Korolewicz, Wotana p. Zawiłowski, Brunhildę pani Gembarzewska. Inne role wykonali p. Mosoczy i pani Kasprowiczowa, a uzupełniały całość jako Walkyrye pp.: Łopatyńska, Okońska, Borecka, Uzarska i inne. Wystawa była wzorowa. Wykonawców, kapelmistrza Brunetto i kierownika opery Chodakowskiego wywołano kilkakrotnie.

* * *

Najbliższą premierą w teatrze krakowskim będzie *„Życie" Feldmana.* Znany radykalny publicysta sięga już po raz nie wiadomo który na niedostępne dlań wyżyny Parnasu. Mimo doświadczeń z „Cieniem", który w r. z. tak fatalnie upadł, po jednem, jak się zdaje przedstawieniu, jest to nowa próba w dziedzinie nieprzystępnej umysłom i usposobieniom wyłącznie dziennikarskim, bez najmniej perspektywy w głąb. „Nie chcę powtarzać — pisze korespondent krakowski „Wieku" — często słyszanego zdania o grafomanii p. Feldmana, trudno jednak nie stwierdzić, że jego twórczość literacka ma niejedną charakterystyczną cechę niepokojącej płodności rzeczy miernych, pisanych bez najmniejszego trudu i z tak małym rezultatem artystycznym. Być może jednak, że tym razem doczekamy się cudu, wprawdzie nie świętego Antoniego, lecz Mojżesza i że „Życie" okaże się czemś więcej niż „Cieniem."

* *

łach i ucztach. O czem mówili i nad czem radzili; to pokryte jest dotychczas ścisłą tajemnicą, gdyż narady odbywały się naprawdę w cztery oczy. Nadto podczas uczt galowych nie wygłoszono *toastów*. Nie ma więc żadnych podstaw do jakichkolwiek kombinacyi i pozostają jedynie domysły, że przedmiotem narad była sprawa *bałkańska* i sprawa *mandżurska*. O rezultacie konferencyi dowiemy się dopiero z jej — skutków, jeźli wogóle skutki te będą widoczne. Bo nie braknie także głosów, które przypuszczają, że zjazd wiesbadeński nie miał wogóle ważniejszego podkładu politycznego.

To pewna, że rząd *turecki* bardzo się zawiódł, jeźli przypuszczał, iż zjazd ten uchroni go przed ostatecznem poddaniem się woli *Rosyi i Austro-Węgier w sprawie macedońskiej*. Ze wszystkich głosów prasy niemieckiej wnosić można, że Niemcy, jakkolwiek szczerze żal im Turcyi, nie ujmą się za nią w tej sprawie. Sułtan mimo to nie dał jeszcze za wygraną, jeszcze, jak się zdaje, liczy, na ewentualną niezgodę mocarstw.

Na ową notę *Rosyi i Austryi*, żądającą przyznania im ścisłej kontroli nad przeprowadzeniem zaleconych reform, rząd sułtański dał odpowiedź wymijającą. Chwalił się w niej, co już zdziałał na polu reform, lecz o kontroli ani nie wspomniał. Tymczasem w tym wypadku mocarstwa są wyjątkowo zgodne, to też, jak słychać w Wiedniu i w Petersburgu przygotowują nową notę, energiczniejszą jeszcze, coś w guście ultimatum, aby przekonać sułtana, że dalszy opór jego może się stać dla niego niebezpiecznym, a przynajmniej bardzo nieprzyjemnym.

Austro-Węgry tem energiczniej teraz zająć się mogą sprawą bałkańską, ponieważ jak się zdaje, trawiący je na wewnątrz zatarg z Węgrami zbliża się do pomyślnego zakończenia. Opozycya węgierska wprawdzie jeszcze się rzuca, jeszcze uderza na rząd, lecz nie trudno poznać, iż czyni to tylko dla formy, dla pozoru, a nie w celu dalszej walki. Wprawdzie w chwili, w której to piszemy, wystąpili z podobnemi żądaniami także *Czesi*. I oni obok dawnych żądań prawnopaństwowych wysunęli teraz na plan pierwszy żądanie większego unarodowienia *pułków czeskich*. Co więcej, na podstawie tych żądań programowych zjednoczyły się trzy główne stronnictwa czeskie, które się dotychczas wzajemnie zwalczały: Młodoczesi, Staroczesi i czescy agraryusze. Ale ta akcya czeska nie jest dla stanowiska mocarstwowego *monarchii austro-węgierskiej* tak groźną, jak był zatarg z Węgrami. Skoro tylko rząd austryacki da im uniwersytet czeski na Morawach i kilka milionów na inne cele, wreszcie kilka ustępstw w dziedzinie językowej, Czesi znów się zadowolą na czas dłuższy. Zbyt wytrawni to politycy, iżby stawiać mieli wszystko na jedną kartę.

Wracając do *Węgrów*, to część ich dziwnym oddawała się mrzonkom. Ni ztąd ni zowąd pojawiła się wersya, że w razie rozbicia się monarchii austro-węgierskiej, Węgry zagarną także *Galicyę* i utworzą *wielkie cesarstwo węgierskie* pod panowaniem drugiego syna cesarza *Wilhelma* księcia *Eitel Fritza*. Opowiadano tam sobie, że książę ten uczy się już po węgiersku, a nawet pojawiły się fotografie, przedstawiające go w stroju węgierskim, z podpisem: *Eitel I., cesarz Węgrów*. W Wiedniu, co łatwo zrozumieć, wersye te wywołały przykre wrażenie, tem bardziej ponieważ austryacki następca tronu, arcyksiążę Franciszek Ferdynand nie cieszy się popularnością na Węgrzech. Aby tedy rozwiać te mrzonki węgierskie, kanclerz hr. *Bülow* oznajmił niedawno w toaście na pewnej uczcie, że cesarz pisał mu z naciskiem, iż *„jego synowie należą tylko do Niemiec.“*

Stanowisko francuzkiego prezesa gabinetu *Combesa* chwieje się rzeczywiście na dobre. W swej nienawiści do Kościoła i zakonów posunął się on za daleko. Wypędziwszy z *Francyi* wszystkie zakony tak zw. nieautoryzowane, zabrał się teraz także do tych, które uzyskały autoryzacyę do utrzymywania szkół. W tym celu zapragnął znieść tak zwane „prawo Falloux,“ zapewniające we Francyi swobodę nauczania publicznego, a jako ostatni etap wytknął sobie zerwanie *konkordatu z Stolicą św.* Tu jednakże napotkał na opór. Przeciwko tym jego zamiarom wystąpił nawet jego poprzednik na stanowisku prezesa gabinetu *Waldeck Rousseau*, jakkolwiek jest również wrogiem Kościoła. Pan Combes już poniósł kilka porażek, a znawcy stosunków francuzkich zapewniają, że jego upadek jest już blizki. Niestety, on zniknie z widowni, ale krzywdy, jakie wyrządził narodowi francuzkiemu pozostaną.

Przykry wypadek wydarzył się zaraz na wstępie nowemu rządowi *włoskiemu*. Nowy prezydent gabinetu, *Giolitti*, zmienić musiał w ostatniej chwili swój plan i utworzyć gabinet bez udziału socyalistów. Ci odwdzię-

---

W krakowskich kołach malarskich, po zamknięciu „Salonu“, przygotowuje się doroczna *wystawa Towarzystwa „Sztuka“* w połączeniu ze *„Sztuką stosowaną.“* Jesteśmy wszyscy ciekawi tej rewii najlepszych sił polskich w zakresie sztuk plastycznych. Z wieści, które przeciskają się z za kulis wystawy, można się spodziewać cudów. Udział biorą starsze i młodsze siły ze Stanisławskim, Wyczółkowskim, Fałatem, Ruszczycem, Wyspiańskim ze starszej gwardyi, zaś z Czajkowskim, Szczygielskim, Kamockim i nowozaciężnych, lecz już dobrze zapisanych w naszej pamięci. Do obrazów przybywa nadto „Polska sztuka stosowana“, pracując w cichości, lecz statecznie nad poprawą gustu u szerszych mas i zwróceniem go na skarby swojskiej kultury artystycznej, drzemiące między ludem po skrzyniach i odrzwiach chałup.

W Łodzi otwarty będzie w najbliższym czasie *pierwszy Salon artystyczny*. Zorganizowaniem Salonu zajmuje się pani Marya Apenzeller (Piotrkowska 79). Salon będzie otwarty dla publiczności bezpłatnie, a koszta utrzymania pokrywane będą z prowizyi, pobieranej od sprzedanych w Salonie obrazów.

* * *

Księgarnia dra J. Marchlewskiego i Sp. w Monachjum, wydająca przeważnie dzieła pisarzy słowiańskich i skandynawskich, ogłosiła w gustownej edycji przekład niemiecki *obrazków syberyjskich p. W. Sieroszewskiego* (Sibirische Erzaehlungen).

Przekładu dokonał M. Sutram.

Niebawem ukaże się tamże tłómaczenie niemieckie *„Godów życia“* Adolfa Dygasińskiego.

Wpływ Sienkiewicza na pisarzów francuzkich. Romans historyczny we Francyi w najnowszej dobie stał się formą nietylko przez czytelników bardzo poczytną, ale wśród młodszego pokolenia autorów liczy bardzo wielu utalentowanych, którzy oddają mu się niemal wyłącznie. Klasyczny świat rzymski i grecki, a nawet Egipt zajmuje autorów francuzkich. Nawet krytyka francuzka zaznacza, że u wszystkich autorów znać wpływ sienkiewiczowskiego „Quo vadis?“ Wśród całego szeregu nowych książek największym rozgłosem cieszą się: romans staroegipski p. t. „Les femmes de Setne“ przez Enacroyasa (pseudonim); dalej „Cesar, roman, de la Rome imperiale“ przez Nonce Casanova (Paryż, 1903, u Ollendorffa). Autor ten naśladuje wszędzie Sienkiewicza. Bohaterem powieści jest Cesarz Kaligula.

* * *

czyli mu się za to ostrą kampanią przeciwko nowym członkom gabinetu. Zjadliwe ich strzały w jednym wypadku trafiły w sedno. Nowo mianowany włoski minister skarbu *Rosano* w kilka dni po objęciu teki popełnił *samobójstwo.* Socyaliści odsłonili bowiem niepiękną tajemnicę z jego urzędniczej działalności. Okazało się, że pan Rosano brał od nich „łapówki,“ ażeby przywodzców socyalistycznych w pewnych wypadkach zasłonić przed prawem karnem. Nowy to dowód jak wielka zgnilizna panuje w rządzących dziś we Włoszech sferach.

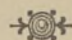
W *Ameryce* powstało nowe państwo: republika *Panamska.* Był to dotychczas departament republiki południowo amerykańskiej *Kolumbii,* a obejmuje wązką cieśninę między Atlantykiem a Oceanem spokojnym, przez który to nieszczęśliwy Lesseps zamierzał zbudować kanał, łączący oba Oceany. Plan jego który jak wiadomo, zakończył się sromotnie głośnym po dziś dzień „skandalem panamskim,“ podjęły teraz na nowo *Stany zjednoczone Ameryki północnej.* Aby jednak zapewnić sobie panowanie nad tym kanałem, zażądały od Kolumbii pewnych gwarancyi i przywilejów, gdy zaś rząd tej republiki, podburzany do oporu przez Francyę i Anglię a podobno także przez Niemcy, stawiał rozmaite trudności, Amerykanie skorzystali zręcznie z niezadowolenia, jakie panowało w departamencie Panama i skłonili rządzące tam sfery do oderwania się od Kolumbii i proklamowania osobnej republiki Panamskiej. Nową tę republikę Stany zjednoczone zaraz wzięły pod swe skrzydła opiekuńcze i nie ulega wątpliwości, że uzyskają dla niej uznanie także innych mocarstw, bo potędze północno-amerykańskiej żadne *otwarcie* nie zechce się opierać. Świat skorzysta z tego o tyle, że ten kanał, który ma dla całej ludzkości wielkie znaczenie, jednak wkrótce zostanie wybudowany i otwarty.

Zaznaczyliśmy na wstępie, że zjazd monarchów w *Wiesbadenie* odbył się zupełnie *bez toastów.* Dziwiono się temu wielce i różnych domyślano się przyczyn. Tymczasem teraz dowiedziano się, że przyczyną braku toastów była *gardłowa choroba cesarza Wilhelma.* Cesarzowi utworzyły się w gardle polipy, które w tych dniach usunięto sposobem operacyi. Ogólny stan zdrowia cesarza nie ucierpiał z powodu tego wcale, lekarze zabronili mu atoli przez czas dłuższy trudzić się dłuższemi rozmowami i mowami. Za granicą obiegają pogłoski, że choroba cesarza jest poważniejsza niż przedstawiają ją urzędowe wiadomości, ale w berlińskich kołach urzędowych stanowczo temu przeczą.

Jeszcze się *Sejm pruski* nie zebrał, a już rozpoczęła się nowa kampania *antipolska.* W Berlinie, w gmachu sejmowym (!) zebrali się reprezentanci *hakaty* wraz z reprezentantami wszystkich szowinistyczno narodowych organizacyi niemieckich, aby ułożyć nowy program *akcyi przeciwko Polakom.* Co tam uradzono, nie wiem jeszcze, kto wie atoli, czy nie dowiemy się tego — z *mowy od tronu* przy otwarciu nowego sejmu. A no, będzie co Bóg da, byle tylko te nowe ataki znalazły nas czujnych na wyłomie.

Sejm galicyjski zamknięty został w ubiegłą środę. O rezultacie jego sesyi doniesie nam zapewne nasz korespondent *krakowski.*

O. M.



Przegląd prasy.

I stała się rzecz niesłychana! Walne zebranie delegatów nie uszanowało dobitnie wypowiedzianej woli wyborców i idąc za podszeptem ugodowców postawiło kandydaturę p. dr. Dziembowskiego, znanego ugodowca, tam, gdzie wyborcy chcieli mieć posłem p. Franciszka Morawskiego tj. w okręgu kościańsko-śmigielsko-nowotomyskim. Nagłe wypłynięcie tej kandydatury to ciekawa ilustracya do zakulisowej roboty ugodowców. Najprzód p. dr. Dz. zrzekł się kandydatury, która tak, jak rzeczy stały, wcale mu się nie należała, w następującej deklaracyi:

„Szanowny Komitet Wyborczy Prowincyonalny w miejscu upraszam o łaskawe odczytanie na zebraniu delegatów następującego oświadczenia.

Zasada solidarności Koła, której naruszyć nie wolno, nie tylko nakłada obowiązek głosowania w myśl uchwał większości, ale przedewszystkiem zmusza posła polskiego do przyjęcia odpowiedzialności za kierunek polityczny i działalność publiczną swych kolegów. Odpowiedzialność taką przyjąć bym mógł tylko wtedy, gdyby społeczeństwo wybrało na kandydatów znaczniejszy zastęp ludzi, dzielących moje poglądy polityczne. W obecnych warunkach przyjąć mandatu nie mogę.

„Nie chcę bynajmniej krytykować postawionych kandydatów poselskich, przeciwnie wyrażam życzenie, aby nowe Koło, z nowym programem i nową taktyką wywalczyło uznanie naszych praw i zdobyło szacunek dla wiedzy, pracy i kultury narodu naszego.

„Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego szacunku.

Dr. Z. Dziembowski.“

Był to widocznie tylko manerw dla uspokojenia czujności żywiołów postępowych, bo następnie na odnośne zapytanie walnego zebrania ten sam p. dr. Dz. raczył przyjąć kandydaturę i tem samem okazał gotowość wejść do tego Koła, któremu w swej deklaracyi niejako policzek wymierza. Nasuwa się tu tylko pytanie, jakiem prawem walne zebranie zniewala do przyjęcia kandydatury człowieka, który i sam posłem być nie chce i którego wyborcy nie chcą.

Z takiego obrotu rzeczy ugodowcy

Pogadanki muzyczne Zygmunta Noskowskiego mają w Warszawie niebywałą siłę atrakcyjną. Trzecia pogadanka była najbardziej interesującą ze wszystkich dotychczasowych. Prelegent rozpoczął od wyjaśnienia taktu i rytmu pod względem historycznym, nadmieniając, że rytmika istnieje dopiero od kilkuset lat, bo przedtem śpiew był nierytmiczny; takim jest śpiew gregoryański, takiemi są też i psalmy; następnie dał prelegent określenie rytmu i jego trzech gatunków (rytm stojący, odbiegający i dobiegający) i ich kombinacyi różnorodnych; potem rozpatrywał obie grupy (parzystych i nieparzystych) taktów i ich odcienia, co do szybkości. Według prelegenta, największe poczucie rytmu mają osoby grające na smyczkowych instrumentach, potem na drewnianych, a w końcu dopiero fortepianiści. Ażeby tym ostatnim brak ten wyrównać, radzi im naukę śpiewu. Dostaje się też zasłużona porcya śpiewakom, że dla względów efektu zapominają o rytmie. Później przechodzi p. Noskowski do akcentacyi, mówi o odczuwaniu części mocnych i słabych i o taktach na 5 i 7 w nowszej muzyce, przyczem daje przykłady z Gounoda i Czajkowskiego; wyrzeka też na poetów naszych, których utwory są nierytmiczne, przez co dla muzyków przedstawiają nieraz wiele trudności w podkładaniu pod muzykę. W ciekawej tej pogadance mówi później p. Noskowski o rytmice, jako odzwierciadleniu charakteru narodowego w muzyce, charakteryzuje różne tańce, przyczem zatrzymuje się najdłużej nad polonezem, mazurkiem, kujawiakiem i nad oberkiem. Z tańców wypłynęła muzyka poważna, a rytmika w każdej gałęzi muzyki ma duże znaczenie ze względu na charakterystykę utworów muzycznych. W końcu swej pogadanki prelegent radzi zwracać baczną uwagę, ażeby zawsze i we wszystkiem była rytmika i był takt, a ten ostatni nietylko w muzyce.

bardzo są kontenci, a *„Dziennik Pos.“* taki nuci hymn zwycięstwa:

„Dobra sprawa zwycięży, jak zwyciężyła w sprawie przedwyborczej i uratowany został honor naszego kraju przez poskromienie hasła: precz z dawniejszymi, zasłużonymi posłami. Jeżeli nie wszyscy bojkotowani posłowie weszli do nowego koła kandydatów, to jednak główna część, a resztę zrobi czas i nemezis polityczna, która też wielką rolę odegrała w tej sprawie. Nie wątpimy, że i reszta tak niesłusznie bojkotowanych a zasłużonych posłów, przywróconą zostanie Kołu przez te same żywioły, które poprzednio uległy intrydze (?).“

Inaczej się jednakże na wynik wyborów zapatrują żywioły postępowe i wyborcy okręgu, z którego p. dr. Dz. ma posłować. W czasie agitacyi przedwyborczej napisała „Gaz. Kościańska,“ że p. dr. Dz. nigdy z Kościana posłem nie będzie“, a p. Szynklewski z Grodziska po ogłoszeniu listy kandydatów taki napisał list do *„Postępu“*:

„Donoszę do publicznej wiadomości, że my tu w Grodzisku z powodu uchwały centralnego komitetu w Poznaniu postawionego kandydata na posła dr. Zygm. Dziembowskiego jako też dr. W. Skarzyńskiego na wybory dnia 12-go b. m. nie idziemy. Pan St. Niegolewski z Niegolewa na przedwyborczem zebraniu w Opalenicy wyraźnie zaznaczył, że dr. Skarzyński kandydatury na posła do sejmu nie przyjmuje, a centralny komitet wraz z delegatami postawionego na zamydlenie ócz, ażeby potem zrobić miejsce w wyszczerbionej luce p. dr Dziembowskiemu, tego nam za wiele. Po co te posiedzenia powiatowych komitetów? po co te zebrania przedwyborcze? czy delegaci i komitet centralny dał nam co na podróż? Jak gdzie jakiego posła wyrzucą to grodziski, kościański, śmigielski, nowotomyślski powiat ma dać takim posłom miejsce? po co? nawarzyli piwa w Poznaniu, niechaj sami sobie wypiją.

„Nie uszanowano głosów ludu, któremu przyrzeczono bezparcyalność, rządzenie i obchodzenie się sumiennie, patrzcie jaka sumienność i sprawiedliwość została nam wymierzona! A więc dla takiej sprawiedliwości oszukanej na wybory nie pójdziemy.

„W imieniu ludowców członek komitetu powiatowego

St. Szynklewski.“

Także i *„Orędownik“* dość otwarcie zapowiada *secesyę*. Zanosi się więc na skandal i to wyłącznie z winy tych delegatów, którzy nie stosując się do woli wyborców i regulaminu usłuchali podszeptów ugodowych. Secesyą w każdym razie potępić musimy jako objaw niesubordynacyi wobec najwyższej władzy wyborczej, którą sami sobie obraliśmy. Za to starać się powinniśmy, aby na przyszłość delegatami nie zostali ludzie, którzy nie umieją uszanować woli tych, którzy ich wybrali.

Prócz powyższej zapowiedzi secesyi mamy jeszcze jednę i to daleko smutniejszą od pierwszej, skierowaną przeciw dzielnemu posłowi p. Głębockiemu. Wypowiada ją w „Dzien. Pozn.“ dość zupełnie otwarcie ks. Dużyński z Murzynowa kościelnego, który pisze:

„Rozgoryczenie wśród trzeźwo myślących jest bardzo wielkie, i jest bardzo wielka obawa, iż mimo postawienia p. Głębockiego, dwie trzecie innemu oddadzą (??) swój głos, co byłoby pożałowania godnem, lecz w naszych lokalnych warunkach *zrozumiałem.*“

Wyjść nie możemy z podziwienia, jak kapłan nietylko może wypowiedzieć podobną groźbę, ale nawet secesyą za zupełnie zrozumiałą uważać. Niechby sobie ks. D. przeczytał świetny artykuł ks. dr. Skrzydlewskiego i zastanowił się dobrze nad jego znaczeniem w chwili obecnej.

Niemniej niewesoło jak u nas przedstawia się sprawa wyborów na Ślązku. Jak wiadomo Polacy postawili kandydatury polskie tylko w Pszczyńsko-Rybnickiem, a co do reszty polski komitet wyborczy wydał odezwę, aby się wstrzymano od wyborów. Tak pojęły tę odezwę pisma polskie na G. Ślązku z wyjątkiem „Katolika,“ który napędza swych czytelników do obozu centrowego, jakkolwiek centrowcy w haniebny wprost sposób pomoc polską odpychają. Zwalczają oni gwałtownie kandydatury polskie w Rybnickiem, a w Opolskiem utworzył się nielegalny komitet dajczkatolików, który postawił praniemca Vogta w miejsce zacnego majora Szmuli, bo tenże uchodzi za Polaka. Najsmutniejszem jest, że kandydaturę tę właśnie księża zwalczają, księża o polskich nazwiskach, ale przejęci duchem germanizatorskim i spodziewający się tłustego probostwa za swe występy. Z drugiej strony wystąpili księża Skowroński i Kotuliński przeciw tej brzydkiej robocie w artykułach pełnych godności i rzeczowych argumentów.

„A więc Towarzystwo ludowe i Polski komitet wyborczy mają według nędznej odezwy zagrażać tak państwu (rządowi) jak wierze katolickiej i zwalczać duchowieństwo. Przeciw tak brutalnym, wprost podłym, skrycie w odezwie umieszczonym zarzutom ja jako przewodniczący „Towarzystwa ludowego“ i jako członek „Polskiego komitetu wyborczego“ *jak najenergiczniej protestuję.* Tak w „Tow. ludowem“ jak w „Polskim komitecie wyborczym“ *zasiadają* ***jako członkowie*** *księża*. To więc niesłychaną zuchwałością, jeżeli księża ośmielają się zarzucać księżom *w publicznej odezwie* dążności wrogie kościołowi i państwu. Program tych naszych nowych Towarzystw opiera się na wierze i konstytucyi; to musiała nawet „Gazeta Katolicka,“ organ duchowieństwa w swoim numerze 123 z 22-go października 1903 nie tylko uznać, ale pochwalić! Co się atoli centrowcom w tych Towarzystwach naszych nie podoba tj. to, że one mają stać na straży skarbów narodowych i religijnych naszego polskiego ludu i bronić tego ludu także przed zuchwałością centrowców, którzy lud nasz polski uważają za bydło wyborcze i *nie pytając o wolę i potrzeby ludu* narzucają im każdego kandydata, który im się podoba. Że temu ma zaradzić „Polski kom. wyborczy,“ ztąd powstała ich złość i żółć, jaką wylewają na nasz ruch ludowy i księży z tym ruchem sympatyzujących. *Centrum nie jest ani instytucyą Kościoła katolickiego, ani państwa pruskiego;* nie godzić się na gospodarkę śląskich centrowców zrozhakatyzowanych — to nie znaczy jeszcze bynajmniej wrogo występować przeciw kościołowi i państwu.“

Wprawdzie urzędowe organa centrowe podtrzymują kandydaturę Szmuli, ale sam fakt podobnego wystąpienia księży germanizatorów jest bardzo smutny.

Zupełnie słuszne stanowisko wobec tej hecy antypolskiej centrowców zajął *„Górnoślązak,“* który kwestyę tak postawił: Albo się centrowcy będą z nami układali, albo my się wstrzymamy od wyborów.

„Górnoślązak“ podaje następujący arcyciekawy list:

„An
Fleischermstr. Alex Mulorz.
Zymełka mówi, że wyście mu kazali rozdzielać pisma od „Górnoślązaka.“ Ja się was pytam, jak się to zgadza z waszą wiarą? Czy wy jeszcze możecie być katolikiem? Czyście wy nie słyszeli na kazaniu pisma ks. Biskupa?

Ks. Wodarz.“

Jest to nadużywanie wiary i Kościoła dla celów niemczyzny w najwstrętniejszej formie.

Podobnie jak na Śląsku występują centrowcy w Prusach Zachodnich. W Gdańsku zawarli kopromis z konserwatystami, a więc wrogami Kościoła katolickiego, którym zaręczyli za to, że będą Polaków zwalczali. Wynika to z artykułu konserwatywnej *„Danz. Allg. Ztg.,“* która w odpowiedzi na list pewnego urzędnika, powątpiewającego o patryotyzmie ks. Scharmera, kandydata centrowców, tak pisze:

„Gdyby ów bezimienny „urzędnik państwowy“ był obecny przy

wspólnych naradach, jakie poprzedzały kompromis konserwatystów i centrowców, wtenczas i on *byłby zadowolony z zapewnionej gwarancyi, jaką nam centrowcy co do sprawy polskiej dali.*“

„Bezimienny autor zdaje się nie zna gdańskich stosunków, w przeciwnym razie nie byłby objawiał nieufności do niemieckiego (czytaj antipolskiego) poczucia ks. dziekana Scharmera. Że gdańscy księża katoliccy w ogólności posiadają niedwuznaczne niemieckie usposobienie, wiedzą nawet ci, którzy się sprawami publicznemi nie zajmują. Jako *jeden z wielu przykładów* przypominam tylko, że ks. kurator katolickiego domu pod wezwaniem św. Józefa (jest nim ks. proboszcz Spors.) dzierżawcę onego domu kontraktem zobowiązał, aby swoich lokali polskim towarzystwom nie udzielał.“

Tak występują centrowcy, którzy wiedzą, że z germanizacyą ręka w rękę idzie protestantyzacya. Na dowód przytaczamy tu, co donoszą *„Kuryerowi Pozn.“*:

„Zaiste, że dziwić się należy, że ludziskom nie ustał rozum na to oświadczenie. Proszę bowiem rozważyć sobie stosunek liczebny dzieci odwiedzających szkołę w Sędzinku do jej wystawienia. *Oto 186 dzieci jest katolickich a 11, piszę wyraźnie jedenaście protestanckich.* Odtąd mają być dołączone jeszcze do tych jedenastu 4 dzieci, które chodziły do szkoły w Dusznikach.

Dozór jednak dzięki Bogu nie stracił, choć znienacka zaskoczony, ani przytomności ani rozumu w tej krytycznej chwili. Nikt przedtem zamiaru król. rejencyi nie zdradził słówkiem.

Działo się to wszystko po cichu, aż do ostatniej chwili. Usłyszawszy, jaki to podarek król. rejencya im przynosi przez inspektora szkólnego, stanowczo przeciw ustanowieniu nauczyciela protestanta, względnie przemianie szkoły katolickiej na parytetyczną, *zaprotestował i zażądał umieszczenia protestu w protokule introdukcyjnym.* Królewska *rejencya pominęła protest* bez podania powodów i zadekretowała, że protestu uwzględnić nie może. *Dozór* przyjął to do wiadomości, ale *zaprotestował powtórnie*, donosząc królewskiej rejencyi, że odniesie się do *ministra* oświecenia, co też już podobno uczynił.“

Przeciw nowemu Kołu rozpoczęli już ugodowcy wojnę podjazdową w celu obniżenia jego znaczenia w oczach społeczeństwa. Na pierwszy ogień wysunęli ugodowe *„Słowo“* warszawskie, które pomiędzy innemi pisze:

„To co dla jednych jest nowem hasłem do boju, dla innych przez dziesiątki lat było treścią życia i pracy, a niewątpliwie lepszymi ludowcami byli ci, którzy zawsze przez dziesiątki lat z najszerszemi kołami i w interesie ich pracowali, od tych, *którzy dotychczas próżnowali, a dziś nagle, przy pomocy haseł*, na barkach tego ludu pragną się wspiąć po nad innych, aby na szerszej widowni — być widzianymi.

„Na innej drodze dawniej zdobywano sobie uznanie, a czy ta wrzaskliwa agitacya nie wpłynie ujemnie na spokojną a owocną pracę dotychczasową, choćby przez to, że poróżni i rozdzieli wielu ludzi, którzy dotąd zgodnie pracowali — to przyszłość dopiero okaże.“

Postępowanie podobne charakteryzuje dosadnio cały sposób zwalczania każdego objawu samodzielności w ludzie naszym przez ludzi, którzy z tą zmianą stósunków pogodzić się nie mogą.

„Wiarus Polski“ pisze:

„Główny komitet wyborczy polski dla Westfalii, Nadrenii i okolic sąsiednich uchwalił na zebraniu w Essen, aby Polacy tychże obwodów przy wyborach do sejmu *wszędzie wstrzymali się od głosowania.*“

„Kuryer Poznański,“ który już się załatwił z p. Gulińską przy pomocy zarządu „Domu katolickiego,“ rozpisuje się szeroko o dzielnej postawie prymasa czeskiego wobec uroszczeń niemieckich w dziedzinie kościelnej, milczy dotąd jak zaklęty w sprawie stósunku kleryków do akademii, a tylko stara się dowieść, że klerycy na wykładach w akademii zyskają pod względem naukowym. Klerycy natomiast są innego zdania, a opinia publiczna bardzo jest zaniepokojona tym nowym objawem uległości naszych władz kościelnych wobec rządu.

Przedwcześnie trochę, ale wymownie rozpisuje się *„Gaz. Gdańska“* o tonie, w jakim posłowie nasi powinni przemawiać w Berlinie. Uważając, że mówią za grzecznie za delikatnie, „Gaz. G.“ pisze:

„Jest to ton dawnej gitary, jakiej używano w polskich domach jeszcze przed 60-ciu laty.

„Niemieccy posłowie, spodziewając się zupełnie innego tonu ze względu na to, co się w polskich dzielnicach wyrabia i czując dobrze, jakby to oni w takiem położeniu rzeczy przemawiali, — dziwią się i chwalą naszych posłów, że zachowują się „poprawnie“.

„Najbardziej pono „poprawnie“ zachowuje się ks. dr. Jażdzewski, który niedawno w mowie poselskiej wzywał prasę polską, aby ton swój dostroiła do jego słodkich dźwięków berlińskich.

„Ale rzecz ma się zupełnie przeciwnie.

„Posłowie winni ton swój zastosować raczej do naszego krzyku boleści, do gniewu, jaki wrze w piersiach naszych, którzyśmy ich do Berlina posłali. Posłowie winni być wiernem echem naszych myśli i uczuć — tylko wedle form parlamentarnych i według wymagań poselskich.

„A polityka polska w Berlinie może być dzisiaj tylko radykalną. Jeszcze nie mamy (!) posła, któryby powiedział rządowi wyraźnie, co myślimy o całej antypolskiej robomyślimy o całej antypolsk robocie. Bo w sercach i umysłach polskich nagromadziło się tyle niechęci i gniewu, taki ogrom jest faktów, które żrą naszą pamięć, że trzeba nam legalnego upustu na trybunie poselskiej, aby doznać ukojenia.

„Polacy w zaborze pruskim żądają od posłów dzisiaj, aby powiedzieli wszystko, jak jest, aby scharakteryzowali dosadnio antypolskich robotników i aby opisali nawet, jak wygląda w duszach naszych.

„Nie wiem, czy na zawsze, ale dzisiaj w każdym razie niemożliwi są owi słodcy „korekt“ pieśniarze, którzy na myśl i rozwagę głęboką Niemców obliczają swe grzeczne przemówienia.

„Zedrzeć bez miłosierdzia wszystkie maski, pokazać przed całą Europą prawdziwe nagie oblicze antypolskich pracowników oto, — czego się dusza polska dziś domaga.“

Redakcya.

Nadesłane.

Do całego nakładu dzisiej zego numeru „Pracy“ dołącza się jako dodatek *Katalog antykwaryczny księgarni A. Cybulskiego w miejscu.* Polecone w nim są cenne wydawnictwa w ilości 41086 tomów, nabyte przez rzeczoną firmę po zmarłym przed laty Ludwiku Merzbachu, głośnym niegdyś księgarzu-wydawcy. Spoczywały one dość długo w ukryciu, ponieważ syn nieboszczyka zmieniwszy wytknięty przez ojca kierunek drukarni, czynność swoję wytężył w innym.

Aby uprzystępnić nabywanie dzieł jak najszerszym kołom zniżyła księgarnia niebywale ceny. Znajdujemy tam nazwiska tego w literaturze rozgłosu jak: Skarga, Garczyński, Kraszewski, Jarochowski, Prusinowski, Kajsiewicz, Wilkońska, Liguori, Lubomirski itd. Pp. organistom mianowicie zwracamy uwagę na Klonowskiego „Szczeble do nieba“, których ilość bardzo już szczupła. Cena pierwotna utrudniała kupno, odtąd każdy może być nabywcą.

Agencyom zwracamy uwagę, iż dodatek, za którego dołączenie nam zapłacono, powinien dostać się do rąk wszystkich abonentów. Przed rokiem z okazyi dodania katalogu gwiazdkowego tejże firmy zaszedł pożałowania godny i karygodny wypadek, iż w pewnem mieście odległem usunięto wszystkie dodatki. Nadchodziły z tej racyi do księgarni skargi, wymieniające osobę i sposób, w jaki tendencyjnie usunięto wszystkie. Przestrzegamy więc na tem miejscu kogo to dotyczy.





E. Brack.

Zgodne stadło.

ALBUM „PRACY“.

DRUKIEM „PRACY“.

Dział illustrowany.

Z OJCZYSTYCH STRON.

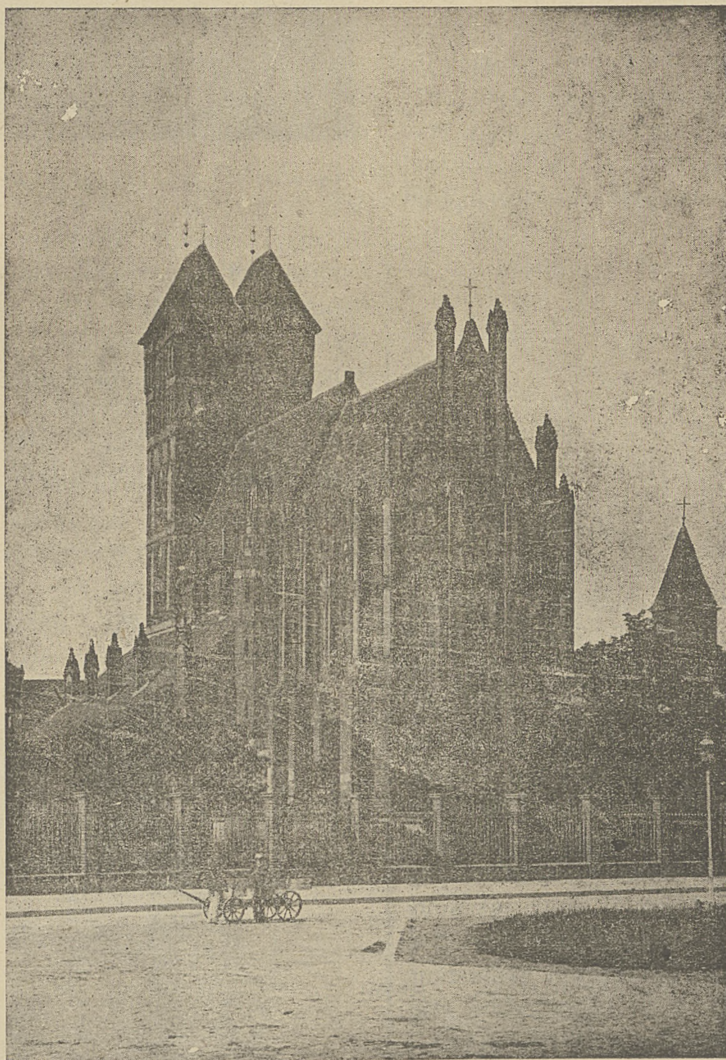
Toruń.

Przed wiekami i dziś.

III.

Zakończymy szkic monograficzny opisem znakomitszych pamiątek Torunia, zaczynając od świątyń katolickich. Najstarszą i największą z nich, pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, fundowali wraz z miastem Krzyżacy. Presbyteryum i główna nawa pochodzi z XVIII. wieku, 4 nawy boczne i wieże powstały w XIV. i XV. stuleciach. Budowa to ostrołukowa, sklepiona, z mnóstwem zabytków. Górna część ołtarza, przy wejściu po prawej stronie (tryptyk rzeźbiony), oraz chrzcielnica z biało-żółtego bronzu, na kamiennej podstawie, należą do najstarszych. Godnemi uwagi są stalle. Na filarze, po lewej stronie od wejścia, w nawie bocznej, wisi portret Jana Olbrachta, między herbami Polski i Prus. Król ten umarł w Toruniu 1500 r., a w kościele św. Jana złożono jego serce i wnętrzności. Na tymże filarze, niżej, widnieje portret Kopernika, klęczącego pod krzyżem, fundacyi Melchiora Pyrnesiusza, lekarza toruńskiego, Krakowianina rodem. Pod tym portretem widzimy jeszcze wizerunek genialnego astronoma: popiersie z białego marmuru, dłuta Wojciecha Rojowskiego, wykonane w r. 1766 na żądanie ks. Józefa Jabłonowskiego. Nadmienimy, że Kopernik w tym kościele został ochrzcony. Z ołtarzów zwracają uwagę: ŚŚ. Szymona i Judy, z doskonałą rzeźbą, który służył Janowi III. jako obozowy; Maryi Magdaleny, z pięknym posągiem tej świętej; Bożego Ciała, z r. 1353. Na prawej ścianie presbiteryum znajduje się płyta z grobowca burmistrza v. Soest, zm. w 1364 r., a za ołtarzem wielkim szafa żelazna, z r. 1382, w której przechowywano księgozbiór kościelny. Pozostał z niego tylko antyfonarz uszkodzony z XIV. w. i prześliczny mszał z XV. wieku, drukowany w Moguncyi. Spostrzegamy też w tym kościele nagrobki: Działyńskich, Kotów, Plemięckich, Lineów i innych rodzin.

Kościół Maryi Panny na Starem mieście należy do świątyń najokazalszych. Fundowano go w XIV. stuleciu, posiada styl gotycki, mury wysokie, bez skarp, okna wielkie. Ongi istniał przy nim klasztor Franciszkanów. Obecnie wszystkie 3 jego nawy mają dach wspólny, dawniej zaś każda miała osobny. Znajdujemy tu prześliczne stalle z XV. w. organy bogato rzeźbione z XVII. w. i z tegoż wieku ambonę, z figurami Pana Jezusa, apostołów, oraz aniołów; wspaniały pomnik z czarnego marmuru Jana Teodora Potockiego i małżonki jego Anny z Leszczyńskich; jeszcze wspanialszy królewny Anny Wazówny, córki Zygmunta III., zmarłej w roku 1631, w Brodnicy; nagrobki Lindów, Mełdzińskich, w. mistrza Krzyżaków Poppa v. Osterna; starożytne freski, wyobrażające Trzech królów w Betlejem i Ukrzyżowanie Chrystusa.



Kościół św. Jakóba w Toruniu.

Kościół św. Jakóba pochodzi z XIV. wieku (zaczęto go budować w 1308 r.). Wieża tej świątyni wchodzi w średnią nawę, a jej piętro najwyższe znacznie przekracza szerokością rozmiary trzech niższych. Wieża ta po-

siada dwa dachy tak, że z daleka się zdaje, jak gdyby dwie wieże obok siebie stały. Osobliwością jest też zakończenie skarp, wystających nad dach, w postaci coraz cieńszych słupów. Wewnątrz na łuku, oddzielającym presbiteryum od naw, widzimy prześliczne rzeźby oraz wizerunek Chrystusa.

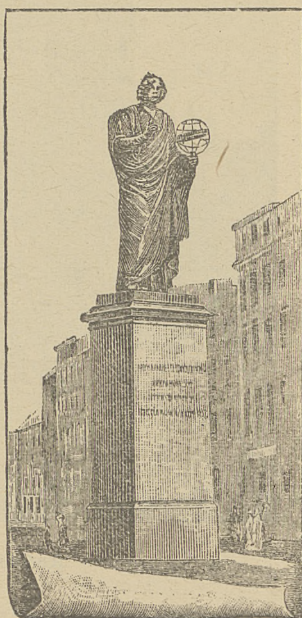
Z malowideł w kościele św. Jakóba wyróżniają się: epizody z życia św. Stanisława, widok Jerozolimy i Męka Pańska. Nagrobków spotykamy bardzo wiele, a naw aż pięć. Organy pochodzą z XIV. wieku. Znajduje się przy tym kościele bogate archiwum po Benedyktynkach (świątynia ongi do nich należała).

Z innych gmachów znajdujemy: ratusz, na środku starego rynku, wzniesiony na fundamentach ratusza starego, którego pierwsze piętro stanęło w r. 1393, a drugie dopiero w r. 1602. Gmach pierwotny spłonął podczas oblężenia Szwedów, w r. 1703, odbudowę skończono w 35 lat. Obecnie budowa składa się z 4 w czworobok połączonych skrzydeł, podzielonych wielkim dziedzińcem i 4 przejściami przez środek frontu. Na rogach gmachu wystrzelają wieżyczki ośmioboczne, wsparte na konsolach z piaskowca. Pod budynkiem ciągną się olbrzymie piwnice, sklepienie jednej wspiera się na jednym ciężkim słupie. W korytarzach widzimy herby, portrety sławnych Toruńczan i szlachty pruskiej. W muzeum ratuszowem znajdują się portrety królów polskich i cenne wykopaliska (naszyjnik bronzowy, miecz rzymski, zapona starożytna ze łbem dzika, pierścienie, zbroja starożytna i t. p.). W bibliotece mnóstwo cennych rękopisów, herbarze szlachty pruskiej, stemple do wybijania monety. Ongi stał przed ratuszem słup z żelaznemi okowami, w które ujęty przestępca odbierał plagi *rabantem* (liną grubości wielkiego palca), lub rózgami. Dalej stał *kruk,* domek na słupie tak urządzony, że go lada dziecko mogło obracać; w nim zamykano nocnych włóczęgów i kto chciał, kręcił nimi, jak kołowrotkiem. Dalej jeszcze stał osieł blaszany, z ostrym blaszanym grzbietem, największy dla łotrów postrach; skazańców sadzano twarzą do ogona i przywiązywano im do nóg ciężary. Pręgierz kończył szereg przyrządów karnych, wystawionych przed ratuszem.

Tu powiemy, że sędziowie toruńscy często przyprawiali dekrety swoje dozą humoru. Tak naprzykład, jakaś dziewczyna, której się podobało straszyć mieszkańców przedmieścia w śmiertelnej koszuli, musiała stać w niej przez pół godziny pod pręgierzem i otrzymała 15 plag *rabantem.* To znów jakiś kłamliwy gazeciarz musiał na ośle przez cały dzień siedzieć, mając na plecach i piersiach kartę z napisem: „Nowa a głupia wiadomość.“ To znów jakiś kalikancista, któremu przyszło


Kościół św. Jana Chrzciciela w Toruniu.

na myśl szukać zarobku, roznosząc wieńce kawalerom rzekomo od panien toruńskich, stał cały dzień pod pręgierzem z wieńcem pokrzyw na głowie, a jeszcze 8 plag rabantem odebrał. Zdarzyło się, że ktoś zelżył radę miejską: musiał za to przy drzwiach otwartych obelgę odwołać, na jeden rok miasto opuścić i... przez ten czas ani kropli piwa, ani kropli napojów gorących do ust nie wziąć! W r. 1609 kantor pewien (organista), który się powadził z pastorem, taki otrzymał rozkaz: „Magister niech swego pyska lepiej strzeże, a kantor niech z B-moll śpiewa, w przeciwnym razie rada sama im *finale* zanuci.“ To znów szewc jakiś z narzeczoną szedł do ślubu, a panna młoda, zapytana przez pastora, czyby narzeczonego pragnęła pojąć za męża, odpowiedziała przecząco, co uczyniła za namową jakiegoś gacha. Za to i panna i gaszek musieli odbyć dwutygodniową pokutę, nadto gach na rok z miasta wyświecony został.


Pomnik Kopernika w Toruniu.

Wracamy do opisu zabytków.

Przy końcu ulicy Piekarskiej znajduje się t. z. wieża pochyła trzypiętrowa, chyląca się w stronę miasta tak znacznie, że na wysokości 50 stóp krawędzią wierzchnią wystaje o 4 stopy i 8 cali. Pochyłość zapewne spowodowało usunięcie się gruntu. Wieża jest pozostałością dawnych umocnień Torunia, który był opasany z trzech stron podwójnym, a od strony Wisły pojedyńczym murem, i z 28 wieżami, z których tylko 9 się przechowało. Wieżę rzeczoną przebudowano na kuźnię forteczną.

Zwaliska zamku krzyżackiego istnieją na pograniczu Starego i Nowego Miasta, przy bramie Mostowej, tuż nad Wisłą. Dziś jeszcze ogromem podziw wzbudzają. Część, stanowiącą ongi szkołę kadetów, dziś przebudowano na mieszkania. Cenną pamiątką jest wykusz na śmiałych łukach wsparty.

Z kamienic, pod względem ozdób ściany szczytowej, zasługują: przy ulicy Łaziebnej nr. 62. Przechowało się też wiele szczytów ostrołukowych, bądź mieszanych z łukami bizantyjskiemi, bądź z epoki Odrodzenia, bądź rococo.

Nie możemy pominąć śpchlerzy, przeważnie z XV. wieku pochodzących i przeważnie z gotyckiemi szczytami frontowemi. Cechą ich charakterystyczną jest wysoki, lecz nie ciężki słup ostrołukowy, do wyżyn gmachu dochodzący. Wzniesione są bez otynkowania, z cegły palonej.

Z domów pamiątkowych wymienimy staruszka przy ulicy św. Anny, nr. 190, gdzie się urodził 19 lutego 1475 r. Mikołaj Kopernik. Pomnik genialnego astronoma osłonięto w r.1853, w Starym Rynku. Uczony wyobrażony jest w szacie fałdzistej, z astrolakiem, jedną ręką w niebo wskazuje, a u stóp jego, z paszczy delfina, wytryska promień wody. Na postumencie napis: *Nicolaus Copernicus Thorunensis,* a na podstawie: *Terrae motor, solis coelique stator.* W domu przy ulicy Piekarskiej, nr. 22, urodził się Bogumił Linde, autor „Słownika polskiego;“ przy ulicy Mostowej — Fryderyk Skarbek, ekonomista, historyk i powieściopisarz. *Kmicic.*

Listy znad jeziór mazurskich.

V.

(Zewnętrzne cechy Mazura. — Gwara i jej odmiany. — Spostrzeżenia lingwistów. — Krosta, Kętrzyński, Giersz. — Język literacki.)

Wieczorem zebrało się pod strzechą liczne grono chłopów i kobiet, bo lud tamtejszy jest bardzo towarzyski, lubi gawędę i garnie się wszędzie, gdzie może posłuchać opowieści o dawnych czasach i ludziach.

Mężczyźni porozsiadali się na ławach, kobiety przysiadły na stołeczkach pod piecem, dzieciaki na zszarzałej podłodze, a obozowisko to oświecała niepewnym blaskiem lampa wisząca na sznurze w pośrodku izby.

Miałem przed sobą galeryą typów mazurskich.

Mazur jest nizkiego wzrostu, rzadko kiedy barczysty i przysiadły, zwykle smukły, kościsty, nie skłonny do otyłości. Posiada zdrową muskulaturę i odznacza się niemałą wytrzymałością na polu i w wojsku, chociaż odżywia się niemal wyłącznie tem co daje ubogie gospodarstwo. Mięso rzadko widywałem w misie Mazura; wytworną jego potrawę stanowią jaja.

Powierzchowność jego dodatnie sprawia wrażenie . Nie można wprawdzie powiedzieć, aby Mazur miał miły, ujmujący wyraz twarzy, lecz maluje się na niej zaciętość, a żywe, iskrzące się oczy zdradzają inteligencyą i temperament. Spotykamy między nimi wielu brunetów o oczach piwnych lub czarnych, ale nie brak także blondynów. Kobiety nie szczególnie ładne, najczęściej wątłe, ruchliwe o cerze delikatnej, białej i rysach szlachetniejszych. Ozdobą ich są oczy, ładnie osadzone i ocienione długiemi rzęsami. Między innemi zdarzyło mi się napotkać kilkakrotnie kobiety o lnianych włosach z czarnemi, łyskającemi wesoło oczyma. Młodość ich krótkotrwała; wyszedłszy za mąż starzeją się bardzo szybko, a chociaż blondynki dłużej zachowują świeżość na twarzach ich wnet zarysowują się zmarszczki.

Młodzież wogóle dojrzewa późno. Jak pomiędzy Kaszubami nieraz dwudziestoletniego młodzieńca brałem za szesnastoletniego wyrostka. Przypisują to niedostatecznemu pożywieniu i — wódce, która wyniańczyła niejedną fizycznie skarłowaciałą generacyę mazurską.

Pod względem językowym lud na przyjezierzu mazurskiem nie wyodrębnił się tak bardzo jak przypuszczałem pod wpływem pisarzy niemieckich, którzy popchnęli rząd pruski do wynalezienia „mazurskiego języka.“ Wprawdzie mieszkańcy miast mówią zwykle bardzo zepsutą polszczyzną, lecz na wsiach względnie czystą. A zauważy każdy, że naogół kobiety mówią lepiej od mężczyzn. W stronach zniemczonych — i to tam gdzie gwara mazurska miała według lingwistów uledz największemu zepsuciu, a więc w okolicy Węgoborka — rozmawiałem z niewiastami, które mnie zachwyciły swą polszczyzną, a gdy wyraziłem im mój podziw, jedna z nich odparła:

— Języka ojcystego się nie zabocy.

I rzeczywiście, jakimbądź jest ten język, lud trzyma go się uporczywie i ma do niego żywiołowe przywiązanie. Jak na wstępie mej podróży, w hotelu, przytrafiało mi się często, że Mazur wzbraniał się zrazu posługiwać swym językiem wobec mnie, ale skoro się odwrócił do Mazura, nieodzownie mówił po polsku. A należy to podkreślić tem silniej, że młodsza generacya włada językiem nemieckim zupełnie płynnie, co świadczy nietylko o wysiłkach szkoły, ale i o uzdolnieniu tego ludu.

Pomnikiem języka polskiego dla Mazura jest nie biblia Wujka, z którą lud nie spotyka się prawie wcale, ale psałterz i inne książki kościelne. Dzięki im i tradycyi przechowało się tam kilka staropolskich wyrazów jak n. p. skórznie. Ma też Mazur różne własne określenia, nie zapożyczone z niemieckiego i tak drewniaki zwie korki, kołowrotek — kółko, a koniczyna nazywa się tam jak w Anglii — klower.

Oczywiście nieprzeliczone mnóstwo słów niemieckich zyskało w gwarze mazurskiej prawa obywatelskie; cmentarz n. p. nazywa się najczęściej kerhof, skład — lada, płaszcz — mantel, widelec — gafelki, dalej zamiast młócić mówi lud — dreszować, zamiast piłować — zagować, zamiast podkreślić — podstrechnąć i t. d. Uderzyło mnie, że skrócono słowo kupować na kupać jakby chcąc zbliżyć je do niemieckiego „kaufen.“ Ale nie na tem koniec wpływów niemczyzny! Miękkie spółgłoski zamienia wielu na twarde — a to więcej niż inne naleciałości kazi ich narzecze. Nie uwydatnia się to wszakże zbyt jaskrawo w mowie i jedynie dorywczo. Natomiast pisząc i to zwykle gotyką Mazur powie iszcz, przeczіw, szledź, prawicz, ogłupicz, albo ogłupsicz, gdyż w zachodniej części ziemi Mazurów lud wtrąca po literze p delikatne *s*, a po w — z, mówiąc n. p. — psiwo, wzieczór. Brzmieniem to s i z zbliża się do ch.

Nadto polskie y zastępuje Mazur niemieckiem i jak n. p. dajmi, kochani.

Pod tym względem narzecze ulega różnym waryantom i lingwista podróżując wzdłuż tych jeziór i lasów co kilka mil zaobserwuje różnice, podobnie jak w księstwie Walii.

Jeden z niemieckich badaczy, Krosta *) rozróżnia dwie grupy, których linią styczną stanowi zachodni brzeg puszczy jancborskiej i Śniardwy. W okolicy Gołdapu, Lec, Mikołajek, Ełku i Jancborka lud przeciąga samogłoskę i, gdy po niej następuje a, mówiąc bjało, kjawał, kochjany, podczas gdy w powiatach szczycińskim, niborskm i ostródzkim wymawia prawidłowo: biało, kawał i t. d. Natomiast na wschód od Jancborka nie słyszymy dodatkowych dźwięków syczących, które pod Szczytnem drażnią ucho polskiego turysty.

Prof. Kętrzyński, Mazur z pochodzenia, wskazuje na charakterystyczne cechy gwary mazurskiej, które z pruskim Mazurem dzielą bracia jego w Królestwie i Galicyi i zasadniczo wyodrębniają ją od języka wykształconych warstw. A więc zamiast cz, sz, ź, dź, rz używa Mazur uproszczonych dźwięków c, s, dz, z. Mimo te odrębności narzecze to wykazuje blizkie powinowactwo z innemi, chłopskiemi gwarami polskiemi. Jakoż dąb, wziął, dzban, żona, dzwon brzmi w ustach tego ludu jak domb, wzioł, zban, źóna, zwon lub zwón.

Prócz gwary potocznej oraz języka kościelnego, wzorowanego na biblii i klasykach polskich (który zilustrowaliśmy w jednym z poprzednich listów), rektor Giersz, który pracował nad oświatą ludu mazurskiego, wytworzył według własnego orzeczenia język literacki, jakim posługiwał się wraz z X. Gisewiuszem w swym „Przyjacielu Ludu“ wydawanym w Lec od roku 1842. Zanim przyjrzemy się „Przyjacielowi“ i działalności tych dwóch kaznodziei zaznaczymy, że ów literacki język X. Giersza jest oczyszczoną z mazurszczyzny i jaskrawych germanizmów, ujętą w karby gramatykalne i tak uszlachetnioną polszczyzną chłopską.

Co się tyczy wrażenia, jakie gwara ta sprawia na słuchaczu, to brzmi ona wogóle dość przyjemnie, stokroć sympatyczniej dla ucha od języka ludu zachodnio-pruskiego. W każdym razie pogodzimy się z nią snadniej aniżeli Niemiec z dyalektem Plattdeutsch.

Roman Rola.

---

*) Krosta, Masurische Studien. 1873.

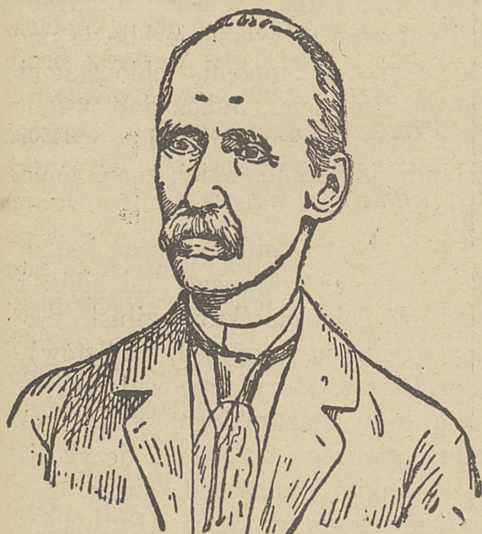


Z żałobnej karty.

Dnia 2. bm. zmarł w Warszawie znany i zasłużony literat i powieściopisarz *Adam Pług* (*Antoni Pietkiewicz*).

Urodzony w 1823 r. we wsi Zamościu (powiatu mozyrskiego), dziecięce i młodzieńcze lata spędził w radziwiłłowskim Żukowym Borku, gdzie ojciec Pługa zarządzał leśnictwem. Do uniwersytetu uczęszczał w Kijowie, poczem pracował w zawodzie nauczycielskim. Na widowni literatury wystąpił około r. 1848, zdobywając w następstwie największy rozgłos trzema powieściami: „Duch i krew'', „Oficjalista'' i „Bakałarze''. Przybywszy do Warszawy, objął w r. 1875 redaktorstwo w „Kłosach'', pozostając na tem stanowisku aż do zamknięcia pisma. Czynny brał udział w redakcji „Wielkiej Encyklopedji ilustrowanej'' oraz „Kurjera Warszawskiego''. Z poezji jego najpopularniejszym jest poemat „Sroczka.''

W dniu 23. października br. obchodził sędziwy poeta i powieściopisarz



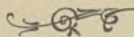
Ś. p. Adam Pług.

ośmdziesiątą rocznicę urodzin. Rocznicę tę święcił literacki świat w Warszawie i w wszystkich ogniskach ruchu literackiego polskiego uroczyście, zasyłając zasłużonemu mężowi wyrazy szczerego uznania i powinszowania. — Nikt nie przypuszczał, że tak prędko rozlegnie się wieść żałobna, tembardziej, że stan zdrowia śp. Pługa jakkolwiek nadwątlony, nie dawał żadnych powodów do obawy. Zmarły do ostatniej chwili podpisywał jako naczelny redaktor „Kurjera Warszawskiego.''

Śp. Adam Pług wraz ze zmarłą niedawno ś. p. Walerją Marrene Morzkowską należał do najpopularniejszych postaci w Warszawie i na ruch umysłowy tamtejszy wywierał wpływ bardzo poważny.

Najpłodniejszy okres jego twórczości literackiej, która miała charakter dziennikarski także, przypada na siódmy dziesiątek lat ubiegłego stulecia, kiedy jako redaktor tyle poczytnego i doskonale redagowanego tygodnika „Kłosy,'' zapełniał to pismo, jak i inne tygodniki warszawskie, płodami swojego talentu. W zmarłym traci publicystyka i literatura polska jednego ze szlachetnych i pięknych swoich reprezentantów.

K. L.



Adamowi Pługowi.

Świt życia mu błysnął w słońc wielkich ogromie,
Zkąd płynął smug świateł, płomiennych czuć żar,
W dziecińswie geniuszów oglądał widomie,
Ich pieśni potężnej owiewał go czar.

Gdy pieśń ta na liczne rozbiła się tony,
Na gaje ojczyste śpiewaczy chór spadł —
I on był w tym chórze, poeta natchniony,
Duch wierny lirników i w pieśni ich brat.

A pieśń ta wszak była serdeczną ofiarą:
Znał nędzę maluczkich, pot — siejbę ich pól,
Wzrok ducha obracał na dolę ich szarą
I sercem odczuwał bezmierny ich ból.

W idei podniosłych koronie ognistej
Przez trudów szedł łany w dzień życia i w noc,
Brud stopy mu nie tknął, szedł jasny i czysty,
I burzy się nie zląkł — bo ducha miał moc.

Z ogrodów on swojskich liliowe rwał kwiecie
I wieńce urocze z rodzinnych wił zbóż!
O pieśni, rzuć kwiaty pod nogi poecie!
Kwiat biały, kwiat lilii na czole mu złóż!

Antoni Pilecki.



Cudowne dziecko.

Znany i powszechnie szanowany w mieście naszem nauczyciel muzyki, p. Edwin Jahnke, pozwolił swemu 7-letniemu synkowi Zdzisiowi wystąpić w zeszłym miesiącu w koncercie amatorskim. Chłopczyk grał na skrzypcach z pamięci najtrudniejsze sztuki, a z wielką poprawnością wydobywał z instrumentu najsubtelniejsze flażeolety. Grał śmiało bez tremy. Widocznie dziecko to ma talent z Bożej łaski, ale nie mniej podziwiać należy ojca, który jako nauczyciel swego syna potrafił ten talent rozwinąć i doprowadzić do zadziwiającej doskonałości. Pan Jahnke, jak wiadomo, jest naczelnikiem szkoły muzycznej. Młody artysta pojedzie do Berlina na dalsze studya.

Już w dniu urodzin Zdzisia (9. 2. 96.) złożyły panie Zofia i Wanda rodzicom hołd wierszowany, zatytułowany: „Obecnemu śpiewakowi, przyszłemu artyście pierwsze laury.'' Wiersz ten brzmi jak następuje:

Huczą bębny, biją w dzwony
Hałas, tartas, wrzawa!
Extra-blaty na wsze strony
Gawiedź rwie ciekawa;
Pyta jeden, woła drugi
Cóż za nowe wieści?
Co ten papier taki długi
Ciekawego mieści?

„Co za dzielna to niewiasta
Z tej pani Anety,



Siedmioletni skrzypek Zdzisiu Jahnke.

Ledwie skończyła piec ciasta
Na godowe wety,
Już radosna brzmi nowina
Po całej stolicy:
Jankowa powiła syna!
Wiwat! Wam muzycy!''

Ciesz się świecie artystyczny
Geniusz się narodził,
Dojdzie sławy niebotycznej
Będzie wam przewodził,
„Bo kto ujrzy światło dzienne
Przy pełni miesiąca,
Dla tego są dni promienne,
Przyszłość jaśniejąca.''
Tak mówią kroniki sławne
Pogańskie znachory,
Tak głosiły wiedźmy dawne
Na sioła — futory.

Cześć Wam zatem oni Rodzice
Anno i Edwinie,
Na wszystkie świata stolice
Polak znów zasłynie!
Sława zatem narodowi
Rozgłos w całym świecie,
Wiwat ojcu i synowi!
Hołd dzielnej kobiecie!

Małemu skrzypkowi życzymy jak najlepszego powodzenia: oby przy pomocy Najwyższego wyrósł na wielkiego i znakomitego artystę!

—ski.



Dziwny wyrok miałem wydać...

Dziwny wyrok miałem wydać,
— Przeczuwałem ztąd kłopoty —
Do zawodów raz stanęły
Wcale różne trzy istoty:

Zkąd rzecz poszła — już nie pomnę,
Gdzieś powstały zdania sprzeczne,
Więc na sędzię mnie wezwano,
Bym rzekł słowo ostateczne:

Co szafirem żywszym pała,
Czyli niebios krąg przezroczy,
Czy jeziora tafla szklanna,
Czy dzieweczki modre oczy?

By rozstrzygnąć rzecz bezstronnie,
— Słuszność prawem dla mnie wszędzie —
Przystąpiłem do badania,
Jak rzetelni czynią sędzie.

Najprzód więc po nieboskłonie,
Jak jest długim i szerokim,
Wzrok puściłem, niech pobuja,
Niech napoi się widokiem.

Z lazurowych strug zenitu
Jasność spływa na wsze strony,
Pychą swoją mnie zalewa,
Aż się mrużę oślepiony.

Ta chełpliwość mnie odstręcza,
Podejrzenie budzi we mnie,
Może blask ten, choć tak czysty,
Pożyczany gdzieś tajemnie?...

Ale cyt na wszelkie wnioski
To przedwczesna jeszcze pora;
Więc zwróciłem wzrok na szybę
Kryształową wód jeziora.

I, o dziwo! błękit nieba
Ta odbiła tonią jasną,
Ale głębszy, ale żywszy,
Bo zdwojoną barwą własną.

Już myślałem, że pierwszeństwo
Chyba zyska wód żwierciadło, —
Gdy w tem chłodem coś wionęło...
Jakby we mgle coś przybladło...

Więc nareszcie wzrok badawczy
Utopiłem w modre oczy,
Chcąc krytycznie to rozebrać,
Co dopatrzę w ich przezroczy;

Lecz prócz własnych ich bławatów —
Ach! dojrzałem całe nieba, —
I jeziora głębię całą, —
To jest więcej, niż potrzeba,

By krytycyzm mój gdzieś przepadł
Za potrójnym tym szafirem, —
Blaskiem niebios tych olśniony,
I porwany wód tych wirem...

I czemś więcej, więcej jeszcze,
Jakiemś ciepłem, co z nich bucha,
Jakimś ogniem, co w nich pała, —
Zem udawał próżno zucha!

Ach! bo czarów to przybytek,
Wieszczki grota kryształowa...
Zabłądziła w niej bez wyjścia
Ta sędziowska moja głowa!

S. Almiński.



Z krainy Ainów.

Znaną jest wogóle cześć prawie bałwochwalcza Japończyków do ziemi rodzinnej, która według podania cudownym sposobem z łez bogów powstała i wyłoniła się z głębi oceanu. Jednak pomimo swego pochodzenia, z czego chełpić się lubią, są oni tylko przybyszami na gruncie Niponu.

Przed nimi inna rasa, z której nieliczne tylko pozostały szczątki, tak zwani Ainowie, zamieszkiwali ten uroczy archipelag. Lecz i Ainowie nie byli autochtonami w tym kraju. Stare podania mówią o Koropakgaru, t. j. o ludziach ze spłaszczonemi głowami, jacy mieli ich poprzedzić, a badania paleontologiczne dowiodły, że istotnie wyspy te zamieszkiwane były przed tysiącami lat przez jaskiniowców. Jako ślady istnienia tych ostatnich, znaleziono w wielu miejscach kości i siekierki kamienne. Potomkowie Ainów żyją do tej pory, lecz liczba ich zmniejsza się z każdym rokiem. Obecnie jest ich zaledwie 18 tysięcy. Zamieszkują wyspy Kurylskie, Sachalin, a przedewszystkiem wielką wyspę Jesso. Prawdopodobnie ludność ta wygaśnie z czasem zupełnie a byłoby to już oddawna nastąpiło, gdyby nie to, że Ainowie nie chcieli korzystać z narzuconej im przez zwycięzców cywilizacyi. Wypierani coraz dalej ku północy, osiedlili się tam, przyzwyczaiwszy się z czasem do ostrego klimatu tych krain.

Słynny podróżnik Laperousse, zwiedzając te strony, zdziwiony był odrębną powierzchownością Ainów.

„Ich twarze" — pisze on — są piękne, a postać silnie zbudowana. W całej Europie niema ludu, któryby się odznaczał tak bujnymi włosami. Pod względem fizycznym stoją oni wyżej od Japończyków, Chińczyków i Tatarów."

Obraz ten jest zbyt pochlebny i nietylko Japończycy, ale i wielu Europejczyków nie uznałoby go za prawdziwy. Co jest rzeczą pewną, to, że u Ainów nie pojawiają się wystające kości policzkowe, ani skośne oczy, te charakterystyczne cechy rasy mongolskiej, Ainowie przypominają raczej wieśniaków rosyjskich, z tą różnicą, że mają ciemniejszą, prawie brunatną cerę; zresztą barwę ich skóry niełatwo rozpoznać, pod grubą warstwą brudu — nie myją się oni bowiem wcale.

Prócz nadzwyczajnej obfitości włosów na głowie i brodzie, odróżniają się Ainowie od innych ras tem, że mają kości płaskie, nie zaś okrągłe. A ponieważ tę szczególną właściwość zauważono na szkieletach człowieka jaskiniowego z epoki kamiennej, można z tego sądzić o starożytności ich rasy.

Z powodu tych charakterystycznych znamion bardzo trudno określić ich powinowactwo z istniejącemi do dziś rasami. Skąd się wzięli Ainowie? — nie można dać na to zadowal-



Z krainy Ainów.
Mieszkaniem Ainów są nędzne lepianki lub szałasy, pokryte liśćmi i bez okien.

niającej odpowiedzi. Pewien uczony francuski, czytając dzieło o Finlandyi i jej mieszkańcach, zwrócił na to uwagę, że pewne bóstwo tego narodu nazywa się Ainu, co świadczy, że to imię, które na wyspie Jesso znaczy człowiek, spotyka się i w innych krajach. Przedwczesnem jednak byłoby wyciągać z tego jakieś stanowcze wnioski.

Ainowie nie lubią odpowiadać na pytania, skąd pochodzą, lub też wymyślają nieprawdopodobne historye. Niektórzy twierdzą z wielką powagą, że są potomkami wielkiego psa białego, tj. niedźwiedzia, i księżniczki z południa. Że nie przechowali żadnych wspomnień o swojem pochodzeniu, temu nie można się dziwić, nie posiadają bowiem znaków piśmiennych. Do rachowania używają bardzo pierwotnego sposobu: robią nacięcia na drzewach, lub węzły na sznurku słomianym. Nie mają również kalendarza; rozpoznają pory roku po ukazującej się na wiosnę zieloności i spadających liściach w jesieni, zupełnie jak Indyanie w Ameryce północnej .

Pod względem używanych narzędzi i naczyń stoją oni niżej od jaskiniowców. Ci znali garncarstwo, o którem Ainowie nie mają pojęcia. Wszystkie ich naczynia są wyrobione z drzewa lub trzciny bambusowej, za pomocą narzędzi przejętych od Japończyków. W ubiorze naśladują również tych ostatnich, co nasuwa myśl, że pierwej, dopóki zamieszkiwali cieplejsze kraje, nie używali go wcale.

Mężczyźni i kobiety ubierają się jednakowo: w zimie noszą ubranie ze skóry, w lecie z tkaniny własnej roboty, otrzymanej z łyka wiązu, bardzo pospolitego w owych stronach. Mieszkaniem Ainów są nędzne lepianki, lub szałasy, pokryte liśćmi i bez okien; są one zwykle bardzo nizkie i podzielone na dwie części; pierwsza stanowi jakby przedsionek, druga właściwe mieszkanie. Wznoszą także budynki na palach, które służą im do przechowywania zapasów żywności.

Głównemi cechami charakteru Ainów jest dobroduszność i uczciwość. Nie zbywa im też na zdolnościach umysłowych, ale nie mogą ich rozwinąć z powodu niesłychanego lenistwa; — drugą przywarą ich jest wstrętne niechlujstwo. Lubią napoje wyskokowe, których często nadużywają, upijają się zwłaszcza trunkiem japońskim, zwanym: *sake*. Rolnictwa nie znają; rybołówstwo i polowanie są dla nich sposobem zarabiania na życie.

W porze rozpoczęcia łowów, zwykle w zimie, odbywają uroczyste obrzędy religijne. W polowaniu na mniejszą zwierzynę: na jelenia, lisa, szakala, biorą udział i kobiety; mężczyzni sami polują na niedźwiedzia, zwierzę szczególnie czczone przez Ainów, które nawet uważają za bóstwo.



Z krainy Ainów. Polowanie na niedźwiedzia
Ainowie, odkrywszy zimowe schronisko niedźwiedzia, zastawiają wejście do jaskini, następnie krzykiem i hałasem starają się go zbudzić i wywabić z kryjówki.

Kiedy niezmierzone przestrzenie wyspy Jesso pokryją się grubą warstwą śniegu, Ainowie z gromadą psów udają się na poszukiwanie kryjówek niedźwiedzich. Niedźwiedź, jak wiadomo, zasypia na zimę, a jak przysłowie mówi, liże sobie łapę. Ainowie odkrywszy jego schronisko, zamykają wejście do jaskini rodzajem kraty z prętów bambusowych, następnie krzykiem i hałasem starają się go zbudzić i wywabić z kryjówki. Przestraszone zwierzę wychodząc, wikła się w zastawione sidła, a wtedy z łatwością przebijają je nożami, długiemi dzidami, lub strzałami ze strzelb bardzo pierwotnej formy.



Z krainy Ainów. Karmienie młodego niedźwiadka.
Mamka, umyślnie wybrana dla niedźwiadka, karmi go przez kilka miesięcy.

To polowanie nie zdaje się mieć nic wspólnego z czcią religijną, jaką Ainowie oddają niedźwiedziowi, a która jest najciekawszym objawem fetyszyzmu u ludów pierwotnych.

Kiedy w jednej z wiosek Ainów w rodzinie zamożniejszej urodzi się chłopiec, udają się w góry na poszukiwanie młodego niedźwiedzia, a znalazłszy go, niosą z wielką uroczystością do wioski. Następnie wybierają dla zwierzątka mamkę, która karmi je przez kilka miesięcy. Żadne niemowlę nie jest otoczone takiemi staraniami, jak młody niedźwiadek. Gdy dostaje zębów, karmienie staje się niemożliwem, umieszczają go wtedy w klatce, gdzie w dalszym ciągu jest pielęgnowany przez niańkę i odpowiednio żywiony.

Kiedy dosięgnie zupełnego rozwoju, następuje chwila, w której Ainowie oddają mu cześć jako bogu „*kamui*"; następnie zabijają go i zjadają. W tym dniu cała ludność przyodziewa ubrania świąteczne i przybywa na miejsce ofiary, wszyscy są zaopatrzeni w łuki i strzały. Otwierają klatkę niedźwiedzia i każdy stara się zadać mu cios śmiertelny. Jeżeli niedźwiedź nie padnie martwy w skutek ran, przygniatają go belkami, a następnie umieszczają na ołtarzu, aby mu złożyć cześć boską.

Naczelnik wioski (kapłanów Ainowie nie mają) zbliża się do stóp zakrwawionego ołtarza i w naiwnej przemowie przeprasza niedźwiedzia za zadaną mu śmierć, oraz dziękuje za dobrodziejstwa, jakiemi ludność obsypuje.

Następnie składa nowemu bóstwu w ofierze wino z ryżu, mięsiwa i inne artykuły żywności, które następnie wszyscy obecni spożywają. Rozpoczynają się tańce i ogólna wesołość, bo według przysłowia Ainów: „Kto się nie śmiał i nie śpiewał, nie żył." Potem odcinają głowę niedźwiedziowi i obdzierają go ze skóry. Obrzęd kończy się, a rozpoczyna się orgia, trwająca przez dni kilka. Tylko kobieta, która była mamką nowego boga, oddaje się boleści nietyle szczerej, ile hałaśliwej.

W taki sposób odbywa się obrzęd oddania czci niedźwiedziowi u Ainów. Czy ubóstwiają go oni przez pamięć na podanie, które go mieni ich przodkami? Nie zdaje się. Przypuszczać można

raczej, że jest to wylew uczuć wdzięczności względem zwierzęcia tak użytecznego dla myśliwych. A może ta cześć ma być zemstą nad groźnym nieprzyjacielem, który rozszarpuje corocznie kilku nieostrożnych. Głowa niedźwiedzia zatknięta na pikę ozdabia zwykle palisadę, otaczającą mieszkanie Ainów, a stanowi ona zdobycz równie cenną, jak skalpy z czaszek wrogów u Indyan czerwono-skórych.

Prócz tego boga ziemskiego, Ainowie czczą jeszcze wielką ilość bóstw niewidzialnych, męskich i żeńskch, których symbolem jest: *inao,* rodzaj laski przewiązanej słomą.

Na zakończenie trzeba powiedzieć cokolwiek o stanowisku kobiety w tem plemieniu. Ainotka jest łagodna, mężowi oddana i wierna. Ainowie po większej części żyją w jednożeństwie, gdy zaś który z zamożniejszych mężczyzn pozwala sobie na zbytek utrzymywania kilku kobiet, wtedy prawej żonie, służy przywilej wybierania ich, aby miała zawsze pewną zwierzchność nad swemi rywalkami.

Między kobietami rozpowszechniony jest zwyczaj tatuowania skóry, nie przez chęć podobania się, lecz przez posłuszeństwo odwiecznej tradycyi. Według niej była kiedyś bogini tak piękna, że wszyscy bogowie prześladowali ją swoją miłością, ona zaś, aby się uwolnić od ich natręctwa, dobrowolnie się oszpeciła.

Od tej pory wszystkie kobiety szpecą sobie nosy, wargi i ręce wzorzystemi nacięciami, zabarwionemi na niebiesko. Noszą także kolczyki srebrne i cynowe, oraz naszyjniki z tego samego metalu.

Jak powiedziano wyżej, liczba Ainów z każdym rokiem się zmniejsza. Przed niedawnym czasem Japończycy powodowani względami humanitarnemi, przedsięwzięli środki dla uchronienia tego plemienia od całkowitego wygaśnięcia. Umyślnemi rozporządzeniami starali się w niej rozpowszechnić dbałość o czystość ciała i umiejętność pielęgnowania nowonarodzonych niemowląt. Wszelkie jednak starania, dążące do obudzenia w Ainach zamiłowania kultury, okazały się daremnemi.

Nieliczne osobniki, które zaczęły uczęszczać do szkół japońskich w Sapporo, albo Muroran, wykazawszy zdolności często wyższe od Japończyków, po paru latach przerywają nauki i powracają w swoje góry. Ponieważ zaś małżeństwa u Ainów zawierają się zwykle między blizkimi krewnymi, to plemieniu temu, — o ile nie zechce łączyć się z Japończykami, którzyby zasilili ich krwią świeżą, grozi zupełna zagłada.

J. T.

Nasze illustracye.

E. Brack. — Zgodne stadło. E. Brack, malarz angielski współczesny, ulubiony w Londynie, jest twórcą licznych, wybornych obrazów, nacechowanych spokojem i poprawnością rysunku. Koloryt obrazów Bracka oddawna już zwrócił uwagę znawców, którzy młodemu temu malarzowi wróżą znakomitą przyszłość.

Z.

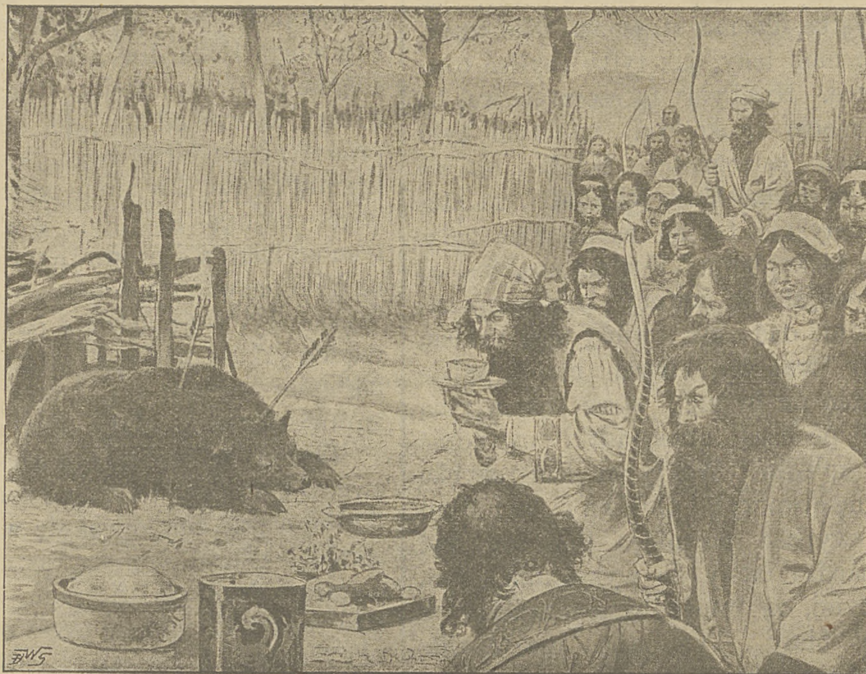
Wspomnienie z niewoli moskiewskiej *roku 1863-go.*

przez **B. M.**

(Ciąg dalszy).

Wskutek ucieczki Sokolicza, położenie nasze na dłuższy czas znacznie się pogorszyło. Zabroniono nam widywać się z mieszkańcami Kielc, chodzić do łazienek, a nawet co najgorsza, nie pozwolono nam mieć wiktu osobnego. Dotychczas wolno nam było utrzymywać własną kuchnię, której przewodniczył jeden z więźniów, kucharz z profesyi. Zbytek ten nie wiele nas kosztował, bo aresztowani wraz z nami obywatele dostarczali nam drew, drobiu, legumin, słowem wszystkiego, czego nam było potrzeba. Teraz skazano nas na kapuśniaczek kazienny, i wszelka protekcya dla nas ustała. Oficerowie okazywali nam wiele niechęci, bo jednego z nich, owego pana C. po ucieczce Sokolicza oddano pod sąd wojenny. Niejaki porucznik Fedorów, będąc dyżurnym, przyszedł do naszej kaźni i zobaczył na stole pierogi pozlepiane, które się miały gotować. Rozgniewany, że sobie pozwalamy takie zbytki, wywrócił stół i porozrzucał nasze przysmaczki po całym pokoju. Koledzy jego dowiedziawszy się o tym bohaterskim jego czynie, drwili z niego nielitościwie, kobiety także nie darowały rycerzowi, prowadzącemu wojnę z pierogami. Wskutek tego wstydził się nam już pokazać, i nawet gdy służba tego wymagała, nie przychodził do naszej kaźni.

Podobnych obostrzeń doznawaliśmy nieraz, mianowicie wtenczas, gdy dzienniki polskie wychodzące w Galicji, „Czas" lub „Gazeta narodowa", podniosły jakie nadużycie popełnione przez wyższych oficerów moskiewskich, załogujących w Kielcach. Oprócz tego każda potyczka, w której powstańcy porazili Moskwę, i każden przypadkowy zły humor jenerała, wszystko to natychmiast dawało nam się czuć w więzieniu. Wyjątkowa taka srogość trwała zwykle czas jakiś, poczem znowu ustępowała powoli.



Z krainy Ainów. — Czciciele niedźwiedzia.
Zabitemu niedźwiedziowi składają Ainowie ofiarę z wina, mięsiwa i innej żywności, którą następnie wszyscy obecni spożywają.

Proces nasz toczył się tymczasem w sądzie polowo-wojennym, jak wszystkie procesa w Moskwie i niektórych krajach innych, prawie całkiem zaocznie. O przebiegu jego nie mieliśmy najmniejszej wiadomości, ale z miasta robiono nam różne nadzieje, które niestety, nie wszystkie zostały spełnione. Właśnie jednego dnia, gdy nam obiecywano wolność, wpadł przez okno do pokoju naszego kamyk, około którego obwiązana była karteczka. Rozwinęliśmy ją skwapliwie i przeczytali;

treść jej była taka, że poprzedzającego dnia ja i Monseu wyrokiem sądu wojennego skazani zostaliśmy na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok ten nie był jeszcze podpisany przez Czengierego; życie więc nasze zależało od jednego pociągu pióra tego człowieka.

Nie trudno sobie wyobrazić, jakie na nas wrażenie zrobiła ta nowina. Ja przynajmniej nie doznałem tak wielkiego rozczarowania, bo pamiętam, co adjutant jenerała powiedział był mojej matce; ale biedny Monseu zawsze łudził się nadziejami, które nam czyniono co do naszego uwolnienia. I teraz nie chciał jeszcze wierzyć swojemu losowi. Tymczasem z różnych stron potwierdzono wiadomość, którą nam przyniosła owa karteczka. Dowiedzieliśmy się, że dawniejszy auditor jako człowiek nieco sumienniejszy, wpadł był u Moskali w podejrzenie o brak gorliwości... Wskutek tego aresztowano go i zastąpiono drugim, którego pierwszem dziełem były nasze wyroki. Wprawdzie donoszono nam, że kara śmierci dla nas ma być zmienioną na Sybir, że jenerał Czengiery ociąga się z rozstrzygnięciem naszego losu i t. p. lecz z bardzo dobrze poinformowanych ust usłyszeliśmy zapewnienie, że wszystko dla nas stracone. Nie zostawało nam tedy, jak tylko myśleć o ucieczce. Nie była to rzecz łatwa, bo umknięcie Sokolicza nauczyło było Moskali ostrożności. Udało mi się jednak dostać klucz od kłódki, na którą zamykano bramę, wiodącą ku pałacowi biskupiemu. Znalazł się ktoś, co się podjął w pewnej przeznaczonej godzinie dać znak z wieży tego pałacu, kiedy straż zewnętrzna mniej będzie uważać na bramę; straż wewnętrzną mieli podczas przechadzki zatrudnić nasi koledzy. Wtedy mieliśmy szybko bramę otworzyć, i obydwa tj. ja i Monseu, wypaść na ulicę. Plan ten był niebardzo łatwy do wykonania, tem bardziej, że musielibyśmy uciekać w dzień biały . Tymczasem nie mogliśmy się przekonać o jego praktyczności, bo zaraz po ułożeniu jego, dnia 24-go sierpnia wieczorem, oznajmił nam dozorca więzień, że mamy się natychmiast spakować, bo nazajutrz trzech z nas, Monsego, Bornemissę i mnie odwiozą do Radomia.

Wśród niepewności, w jakiej byliśmy i w obec ostateczności, która nas skłoniła do szukania ratunku w ucieczce trudnej, a raczej niepodobnej do wykonania, wiadomość ta stała się dla nas ciosem okropnym. W czasie siedmiomiesięcznego pobytu naszego w Kielcach, dzięki poświęceniu ziomków i współczuciu wielu serc szlachetnych, pozawiązywaliśmy byli stosunki z wolnym światem, które teraz nagle miały ustać. Nie mieliśmy nawet czasu zawiadomić nikogo w mieście o nagłym naszym wyjeździe, który nie mógł nam wróżyć nic dobrego, zwłaszcza że Moskale starali się otoczyć go niejaką tajemniczością. Zbudzono nas bardzo rano; wszystko jeszcze spało w mieście, kiedy nas wyprowadzono na rynek, i wbrew zwyczajowi, nikt nie przyszedł nas pożegnać przy wymarszu, bo nie wiedziano wcale że nas wywożą. Ruszyliśmy w towarzystwie eskorty, bardzo znacznej w porównaniu ze szczupłą naszą liczbą; widać że Moskale bali się, żeby nas po drodze powstańcy nie odbili. Sądzę, że nie od rzeczy będzie tu napomknąć, iż jakkolwiek uwięzieni mieliśmy zawsze dokładne wiadomości o przebiegu powstania. W kaźni czytywaliśmy najsurowiej w Królestwie zakazane dzienniki, Gazetę narodową i Czas; zresztą sami Moskale opowiadali nam mnóstwo szczegółów ze zdarzeń, w których po części sami brali udział.

W gubernii Radomskiej, chociaż siły powstańcze nigdy nie doszły do wielkiego rozwoju, od początku sierpnia kręciły się w różnych okolicach oddziały nie liczne, ale dzielne. I tak oddział pułkownika Chmieleńskiego liczył około 400 piechoty i szwadron jazdy pod kapitanem Bellardim, oddziały majora Bogdana, Brosembacha, Rudowskiego i Iskry, każden od 300 do 400 ludzi, prócz tego żandarmi Bogusza, Junoszy, później i Otta, a w zimie oddział dzielnego majora Rębajły. Wyćwiczenie tych oddziałów i prowadzenie ich można było nazwać wzorowem, w całej zaś organizacyi województwa panował porządek jak największy, czego dowodzi najlepiej surowy ale słuszny wymiar sprawiedliwości, który spotkał Iskrę.

Dowódzca ten, którego właściwe nazwisko było Sokółowski, od samego początku ciągle znajdował się w obozie i wszędzie okazał się nieustraszonym żołnierzem i dzielnym oficerem. Nieszczęście jednak chciało, że przez ową zbytnią fantazję, którą często napotykamy u tęgich rębaczów, i przez zarozumiałość swoją dopuścił się wielu nadużyć, a nawet zbrodni. Takie postępowanie dowódzcy oddziału musiało być nadzwyczaj szkodliwem dla sprawy narodu. Gdy więc kilkakrotne ostrzeżenia dane Iskrze, nic nie skutkowały, rząd narodowy rozkazał go stawić przed sąd wojenny. Pułkownik Kurowski przywiózł odnośne do tego rozporządzenia Chmieleńskiemu, a ten zaprosiwszy Iskrę do swego obozu, aresztował go we wsi D. i oddał sądowi złożonemu pod przewodnictwem kapitana Andersona, którego później Moskale rozstrzelali w Kielcach. Auditor, niegdyś urzędnik moskiewski, rozpoznał sprawę, a rezultatem śledztwa było, że Iskra okazał się winnym do tego stopnia, iż nań wydano wyrok śmierci. Nazajutrz tedy z rozkazu pułkownika Kurowskiego, oddział jego złączył się z oddziałem Chmieleńskiego, i w obliczu wszystkich żołnierzy ogłoszono skazanemu wyrok. Iskra wysłuchał go odważnie, poczem przystąpił nad grób, zawczasu dla niego wykopany i rzekł głośno: „Wiem, że przez haniebne czyny moje na śmierć zasłużyłem; żal mi jednak, że od polskiej, nie moskiewskiej kuli ginę.‟ Rzuciwszy jeszcze w górę swoją czapkę z wielkiem czaplem piórem, zawołał: „Niech żyje Polska‟ i zginął.

Co się tyczy Chmieleńskiego, był to żołnierz jakich mało, a wódz od wszystkich podwładnych swoich ubóstwiany. Dał on się nie mało w znaki Moskalom, sam nigdy rozbitym nie został. Gdyśmy jeszcze byli w Kielcach, Czengiery wyprawił się przeciw niemu w kilkanaście rot piechoty i jazdy, mając oprócz tego pół baterji dział z sobą. Po trzech dniach ciągłych utarczek przekonał się, że nie da rady Chmieleńskiemu, posłał więc zaraz do Kielc po posiłki. Dowódzca powstańców przewidział jednak i zniweczył ten zamiar, i w nocy, w której Moskale mieli wyruszyć z miasta, wysłał część swojej kawalerji, aby ich zaatakować w Kielcach. Powiodło mu się to najzupełniej, a my z okien naszego więzienia widzieliśmy ruch ogromny, który powstał z tego powodu. Straże rozstawione naokoło miasta, cofały się strzelając ciągle, zatoczono działa na rynek, trąbki i bębny odezwały się ze wszystkich stron a patrole jazdy moskiewskiej przebiegały wszystkie ulice. Następnego dnia jeszcze, chociaż wszystko ucichło, żaden Moskal nie ruszył się z miasta, a Chmieleński tymczasem wywinął się Czengieremu.

Wiadomo, że dzielny ten wojownik ciężko ranny, dostał się nakoniec do niewoli moskiewskiej. W Radomiu osadzono mię w celi więziennej, w której on przepędził ostatnie chwile swego życia, i z której go na wózku wywieziono na plac stracenia, bo rany mu jeszcze iść nie pozwalały. Sami nawet Moskale przejęci byli uszanowaniem dla jego osoby, z powodu nadzwyczajnego męztwa, które okazał zarówno na polu bitwy, jak w więzieniu. Lekarz wojskowy, który opatrywał jego rany, zawsze ze łzami w oczach wychodził z kaźni; oficerowie nieprzyjacielscy z największem uwielbieniem wspominali zawsze nazwisko Chmieleńskiego. Obiecywano mu wolność, byle wydał członków rządu narodowego, których jako pułkownik i szef sztabu jenerała Bosaka, musiał znać z pewnością. „Jako pułkownik polski, znałem rząd naro-

dowy, odpowiedział z godnością, ale jako jeniec moskiewski, nie znam nikogo!‘‘

Oficer dowodzący eskortą, która nas prowadziła do Radomia, okazał się dla nas bardzo ludzkim i grzecznym; dzięki temu usposobieniu jego, nie doświadczyliśmy żadnej przykrości ze strony dzikiego żołdactwa. Półtory mili od Kielc stanęliśmy na popas w karczmie pod lasem. Ledwieśmy się zaczęli grzać przy kominku, rozmawiając z oficerem, gdy wszedł sierzant i zameldował, że konnica polska ukazała się o ćwierć mili od karczmy. Oficer zerwał się z miejsca, sałdaty stanęli pod broń, a my z biciem serca patrzaliśmy w stronę, z której nadchodzili nasi. Niestety, nie mogli oni atakować piechoty, zajmującej domostwo. Ujrzawszy ją w pogotowiu, skręcili w bok i poszli dalej. Z nimi razem zniknął ostatni promyk nadziei, który nam był błysnął na chwilę. Oficer nasz wpadł w dziki humor, odważyłem się zapytać go, czy nie wie jaki nas los czeka? Powiedział mi, że obydwa, ja i Monseu, jesteśmy skazani na śmierć przez rozstrzelanie, ale że pod moim wyrokiem jenerał Czengiery umieścił własnoręczny przypisek, polecający mię łasce wyższej władzy moskiewskiej. W ten sposób uiszczał się on ze słowa, danego mojej matce. Jakkolwiek później przekonałem się, że mi tym sposobem życie ocalił, niebardzo mię naówczas pocieszyło to, co mi powiedział oficer, i byłem zupełnie na śmierć przygotowany. Biedny Monseu przeciwnie, nie chciał wcale wierzyć, że go mogą rozstrzelać i twierdził, że jako poddany austryacki zostanie po ukończeniu wojny wydany swemu rządowi. Zobaczymy wkrótce, jak smutny zawód spotkał nieszczęśliwego mojego kolegę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Tęsknota.

Idzie tęsknota bladolica,
Idzie pod senny blask księżyca,
Pod zorze idzie wieczorową
Różanem świtem, w noc zimową...

Idzie, jak białe idą duchy,
Pełna pokory, lęku, skruchy,
Po ścieżkach życia cicho kroczy,
Srebrnemi łzami lśnią jej oczy.

Idzie... Na kogo wzrok jej padnie,
Temu się dusza mąci na dnie,
I twarz się staje bardziej bledsza,
I niknie, jak kwiat bez powietrza...

A u czyjego proga siędzie,
Tam mózg i serce wnet oprzędzie
Pająk zadumy, przeczuć smutnych,
Zwątpień i ducha walk okrutnych...

Idzie tęsknota... Hej, tęsknico,
Czemu w twych oczach łzy się świecą,
Czemu podnosi pierś twą łkanie —
Kto ci ból zadał?...

— Miłowanie...

Ign. Kossobudzki.



Pod latarnią.

Obrazek z życia sławnego dobroczyńcy ludzkości.

Zmrok zapadał... coraz było ciemniej i ciemniej... mroźna, jesienna noc zapędzała wszystkich mieszkańców Poznania do domów.

Przedmieściem św. Wojciecha biegł jakiś chłopak otulony wytartym płaszczem i niósł coś pod ręką. Tchu mu już brakło. Przystanął... rozglądnął się... Na ulicy nie było nikogo. Tylko wiatr szumiał i gwizdał przeraźliwie.

Latarnia rzucała słaby i migotliwy blask na małą przestrzeń, pies jakiś zbłąkany kręcił się po ulicy.

Chłopak przysiadł tuż przy słupie latarni, wyjął jakąś notatkę, potem książkę; otworzył je i zaczął czytać.

Zimno się wzmagało, wiatr poruszał płomieniem latarni. Chłopiec wciąż oczy przecierał... skąpe światło utrudniało mu czytanie, przez lekki płaszczyk dojmowało zimno, trząsł się i otulał ciągle nędznem ubraniem.

Nic dziwnego! Póki żył jego ojciec, Wojciech Marcinkowski, dorożkarz, póty w domu nie źle było, ale Bóg zabrał go niedawno z tej ziemi, i została wdowa bez utrzymania z kilkorgiem dzieci. Matka pracowała ciężko, aby dzieciom zapewnić utrzymanie. Syna Karola posyłała do szkoły OO. Reformatów, Karol uczył się gorliwie i pracował, bo wiedział, że praca zapewni przyszłość jemu i całej rodzinie.

Tego wieczora siedział przy małym kawałku świecy i uczył się lekcyi, ale rychło świeca zgasła, resztka knota przykleiła się do stołu... a ciemność zaległa izdebkę. Karol zaskoczony tą ciemnością, gorżko zapłakał. Tyle jeszcze miał do nauczenia się!

Nagle pomysł jakiś zaświtał mu w głowie. Narzucił na siebie płaszcz, zabrał książkę i wymknął się z domu — i teraz uczy się pod latarnią.

W tem kroki jakieś rozległy się po bruku... Karol przeraził się; otulił się mocniej płaszczem, czapkę na oczy nasunął tak, aby przechodzień nie poznał jego twarzy.

Jednak patrzył ciekawie z pod daszka czapki, wstrzymując oddech. Kto to idzie? zapytał w duchu. Wysoka postać zarysowała się na tle nocy.

— To profesor! szepnął niesłyszalnie Karol, a gorący rumieniec oblał mu lica.

Skulił się jak mógł i tak siedział nieruchomo. Ale zaciekawiony przechodzień przybliżył się do niego, dotknął go ręką, a myśląc, że to jaki złoczyńca, zawołał:

— Hej! kto to? i nagłym ruchem ręki zdjął mu czapkę. Wiatrem rozniecone światło latarni padło na twarz chłopca.

— Marcinkowski? tu pod latarnią! — zawołał zdziwiony profesor.

Karol pobladł i drżał jak w febrze — książka wypadła mu z ręki.

Teraz profesor pojął rzecz całą.

— Mój sieroto! rzekł z najwyższem wzruszeniem — ty światła nie masz w domu!

Poszedł z chłopcem na przedmieście św. Wojciecha, chcąc wiedzieć, gdzie mieszka pilny młodzieniec.

Od tego dnia szlachetny profesor zaopiekował się swoim biednym uczniem, a Karol zasłynął, jako znakomity lekarz i opiekun biednych.

Los śmierci.

Działo to się za czasów Oliwiera Cromwella.

Pułkownik Mayfar, najmłodszy oficer tej rangi w wojsku Protektora, pomimo trzydziestu lat wieku, był już doświadczonym weteranem w sztuce wojennej, ponieważ od siedemnastego roku służył w wojsku. Za udział i zasługi w wielu bitwach otrzymał to wysokie stanowisko w armii, i uzyskał szacunek towarzyszy. Obecnie jednak miał on ciężkie zmartwienie — czarny cień przysłonił jego szczęście...

Zimowy wieczór zbliżał się ku końcowi. Na dworze wśród ciemności huczała burza — wewnątrz panowało ponure milczenie.

Pułkownik i jego młoda żona, zagadawszy się o swem ciężkiem zmartwieniu, odczytali odpowiedni ustęp z biblii i odmówili wieczorne pacierze. Obecnie nie pozostawało im nic innego, jak siedząc obok siebie z dłonią w dłoni wpatrywać się na płonący na kominku ogień, myśleć i czekać...

Mieli małą córeczkę, siedmioletnią Abby. Była ona ich bożyszczem. Teraz wiedzieli, że lada chwila przyjdzie do nich powiedzieć dobranoc.

— Otrzyj łzy — powiedział pułkow-

nik do żony — trzeba mieć twarz wesołą dla naszej maleńkiej. Musimy na chwilę zapomnieć o tem, co nas dręczy.

Sprobuję zamknąć w sercu moją boleść, chociażby ono pęknąć miało.

— Poddajmy się bez szemrania temu, co na nas spadło i cierpliwie znieśmy, pamiętając, że wszystko pochodzi od Boga.

— Niech się dzieje wola Jego święta. Z głębi wierzącej duszy pragnę tego, ale czy sercem potrafię to odczuć. O, gdybym mogla! Myśl, że tę ukochaną rękę po raz ostatni może ściskam i całuję....

— Cicho, najdroższa, już nadchodzi...

Mała, drobna istotka, z główką otoczoną jasnemi loczkami, w nocnem ubraniu, wbiegla do pokoju i pędem rzuciła się do ojca. Ten chwycił ją w ramiona i zaczął okrywać gorącymi, prawie bolesnymi pocałunkami.

— Dosyć, tatusiu, dosyć; dlaczego calujesz mnie tak mocno? Potargasz mi wszystkie włosy.

— Przebacz mi, maleńka, tatusiowi tak bardzo smutno...

— Już się nie gniewam, ale czemu ci tak smutno, czy się gniewasz na kogo?

— Wkrótce się dowiesz o tem, Abby — powiedział pułkownik i, zakrywszy sobie twarz rękami, cicho lkał.

Przestraszone dziecko zaczęlo również płakać i, starając się oderwać ręce od twarzy ojca, zawolało:

— Nie płacz ojczulku, Abby nie myślała nic złego. Abby nie chce, żebyś płakał, tatusiu, proszę cię!

W końcu udało jej się rozchylić trochę ręce ojca i dojrzeć jedno oko.

— Niedobry jesteś, zawolała, nie widząc łez — nie płakałeś wcale, tylko chciałeś mnie oszukać. Pójdę do mamusi, ona lepsza.

— Nie, nie odchodź odemnie, drogie dziecko — mówił pułkownik, przyciskając jeszcze mocniej ramieniem pragnącą uwolnić się z jego objęć Abby.

— Tatuś był niegrzeczny, ale tatuś jest bardzo biedny i bardzo smutny. Chodź, chcę ucałować twoje łezki, a za karę zrobię wszystko, czego zażądasz.

— Widzisz, łezki osuszone i żaden loczek nie jest potargany. A teraz, co Abby rozkaże?

Na twarzyczce dziecka znowu jak promyk słońca, zajaśniała radość. Małemi rączkami chwyciła ojca za brodę i wygłosiła karę:

— Opowiesz mi jaką historyjkę. Cicho!

Rodzice wstrzymali oddech i nasłuchiwali. Prócz świstu jęczącego wiatru, słychać było jakieś kroki, zbliżające się coraz bardziej. Nie! ucichły gdzieś w oddali!

Odetchnęli swobodniej.

— A więc mam ci opowiedzieć jakąś historyjkę — czy wesołą?

— Nie, tatusiu — straszną.

Ojciec chciał wybrać coś wesołego, ale Abby obstawała przy swojem, mówiąc, że powinien sluchać jej rozkazu, bo tak przyrzekł.

Pułkownik był dzielnym purytańskim żołnierzem i wiedział, że nie należy slowa łamać.

— Teraz niema wesolych bajeczek, bo mi Betty mówiła, że wszystkim ludziom źle na świecie. Czy to prawda?

Matka westchnęła ciężko.

— Prawda mój skarbie. Ludzie zawsze mają swoje cierpienia.

— A widzisz, opowiedz mi więc jedną taką straszną historyę, żebyśmy wszyscy byli smutni tak, jakby to o nas chodziło. Mamo, przysuń się do nas bliżej i trzymaj mnie za rączkę. Jak przyjdzie to straszne, to lepiej nam będzie razem. A teraz ojczulku opowiadaj.

— A więc... było pewnego razu trzech pułkowników.

— Ach, jakie to ładne! ja wiem, co to pułkownik. I ty, tatusiu, jesteś pułkownikiem. No, mów dalej.

— Otóż, w jednej bitwie wykroczyli oni coś przeciwko wojskowej dyscyplinie...

Nieznany wyraz uderzyl dziecko — z zaciekawieniem i pewnym niepokojem spojrzało na ojca i rzekło:

— Czy to coś do jedzenia?

Rodzice roześmieli się.

— Nie, dziecko, to wcale co innego. To znaczy, że oni nie wypełnili rozkazu.

— Jak to było?

— W pewnej bitwie otrzymali rozkaz zrobienia fałszywego ataku, ażeby zmylić nieprzyjaciela i ułatwić wojsku cofnięcie się w tył. Tymczasem oni przekroczyli ten rozkaz — zrobili prawdziwy atak, zdobyli fortecę i bitwę wygrali. Naczelny wódz zadowolony był z wygranej, lecz za nieposluszeństwo dla przykladu innych, odeslał ich do Londynu i oddal pod sąd wojenny.

— Czy to ten wielki wódz, Cromwell, ojczulku?

— Tak.

— O, ja go widziałam, kiedy taki dumny na swoim wielkim koniu przejeżdżał raz koło naszego domu. Wtedy miał twarz — nie wiem, jak to powiedzieć — jakby był zły i zagniewany, a wszyscy patrzyli na niego z przestrachem. Ale ja się go nie bałam, bo on na mnie tak źle nie patrzał.

— Ty mała, kochana szczebiotko! Odwieziono więc tych trzech pułkowników do Londynu i tutaj puszczono ich na wolność, ażeby mogli poraz ostatni z rodziną...

Cicho!

Słuchają. Znowu jakieś kroki... Nie, przeszły dalej...

Matka przytuliła się twarzą do ramienia ojca, chcąc ukryć swą bladość.

Czy oni dziś rano przyjechali?

Oczy dziecka były szeroko rozwarte.

— Powiedz mi, tatusiu, czy to prawdziwa historya?

— Prawdziwa, kochanie.

— O, to dobrze, to jeszcze lepiej. Mów, ojczulku, mów co dalej było.

— Mamo, ty płaczesz?

— Nie, dziecko, ja tak tylko... myślałam o tych biednych rodzinach...

— Ależ nie płacz mamusiu, zobaczysz, wszystko skończy się dobrze. To tak zawsze bywa w tych historyach. Mów, mów dalej, ojcze, mów prędzej do końca, kiedy oni żyli już szczęśliwie. Nie płacz, mamusiu.

— Najprzód odwieziono ich na zamek Tower do więzienia...

— O, ja znam Tower, ztąd od nas widać.

— Tam zasiadł sąd wojenny, sądził ich sprawę i uznał, że są winni. Prawdopodobnie będą rozstrzelani...

— Na śmierć zabici, tatusiu?

— Tak.

— Jakie to okropne! Mamo, ty znowu płaczesz. Nie płacz, zaraz dojdziemy do dobrego miejsca. Prędko, tatusiu, opowiadaj dalej, mówisz dziś pomału.

— Masz słuszność, dziecko, muszę się ciągle namyślać.

— Nie namyślaj się więcej, tylko ciągle opowiadaj.

— Dobrze, maleńka... Ci trzej pułkownicy...

— Czy ty ich znasz ojczulku?

— Tak, znam ich.

— Ach, jakbym ja chciała ich poznać, ja tak lubię pułkowników. Jak myślisz, czy oni pozwoliliby siebie pocałować?

— Jeden z nich napewno — chodź, pocałuj mnie za niego — powiedział pułkownik, a głos mu zadrżał.

—Dobrze tatusiu, a jeszcze dwa razy za tamtych. Jabym im powiedziała tak: mój tatuś jest także pułkownikiem, jest bardzo odważny i onby z pewnością zrobił tak samo jak wy i niech sobie ludzie co chcą mówią, a to nie jest nic złego. Nie macie się czego wstydzić ani odrobinę. Wtedy pozwoliliby się pocałować — prawda ojcze?

— Z radością moje dziecko.

— Mamusiu nie płacz, teraz już będzie wszystko dobrze. No, opowiadaj tatusiu.

— Niektórzy byli bardzo smutni — wszyscy trzej zresztą byli smutni. Cóż dziwnego, przecież to sąd wojenny!

Udali się oni do naczelnego wodza Cromwella i powiedzieli: spełniliśmy nasz obowiązek — bo naprawdę, maleńka, był to ich obowiązek — a teraz prosimy, niech jeden będzie skazany na śmierć, a dwaj inni otrzymają wolność.

Ale wódz odrzucił ich prośbę, mówiąc, że i on także chce spełnić swój obowiązek i nieposłuszeństwo dla przykładu innych — ukarać. Wtedy pułkownikowie tłómaczyli mu, że nie żądają nic takiego, czegoby on zrobić nie mógł i że gdyby oni byli na jego miejscu i mieli prawo ułaskawiać — ułaskawiliby z pewnością. To zrobiło wrażenie — wódz zamyślił się chwilę, a z twarzy jego znikła surowość. Kazał im czekać, a sam wyszedł do drugiego pokoju, chcąc, jak mówił, poprosić Boga o radę. Wróciwszy powiedział: będziecie ciągnąć losy — kto wyciągnie los śmierci — musi umrzeć, dwaj inni otrzymają wolność.

— Czy ciągnęliście losy, tatusiu? kto musi umrzeć?

— Nie, pułkownicy sprzeciwili się temu.

— Nie chcieli ciągnąć?

— Nie.

— Dlaczego?

— Powiedzieli, że ten, który sam dla siebie los śmierci wyciągnie, to jakby sam siebie zabił, jakby popełnił samobójstwo. A przecież oni są chrześcijanami i czytają biblię, nie będą więc sobie życia odbierali. Taką też odpowiedź posłali wodzowi i dodali przytem, że są gotowi przyjąć wyrok sądu.

— Co to znaczy tatusiu?

— To znaczy... że wszyscy trzej będą rozstrzelani.

— Cicho!

— Czy to wiatr huczy? Nie! Tup... tup... tup... trach... trach...

— W imieniu naczelnego wodza prosimy otworzyć.

— Tatusiu, patrz, to żołnierze. Ja tak lubię żołnierzy, czy mogę im otworzyć? Pozwól ojczulku.

Abby zeskoczyła z kolan ojca, pobiegła do drzwi i otworzywszy, zawołała:

— Wejdźcie, Abby wam sama otwiera. Tatusiu już weszli, to grenadyerzy, znam ich doskonale.

Mały oddział wojska wszedł do pokoju i uformował linię. Każdy z żołnierzy trzymał broń na ramieniu.

Dowodzący oficer oddał honory pułkownikowi, ten odsalutował go, powstawszy z miejsca.

Żona skazanego stanęła obok. Twarz jej była śmiertelnie blada i miała wyraz wielkiej boleści, której mężna kobieta żadnym innym objawem nie zdradzała.

Dziecko błyszczącemi oczami przyglądało się tej scenie.

Nastąpiło krótkie pożegnanie matki, ojca i dziecka, poczem zabrzmiała komenda:

— Do Toweru, marsz!

Wyprostowany krokiem wojskowym wyszedł pułkownik ze swego domu...

Drzwi zamknęły się...

— Mamusiu, jakie to wszystko cudowne! Widzisz, ja ci mówiłam, że wszystko dobrze się skończy. Teraz tatuś poszedł do Toweru i tam zobaczy tych pułkowników. On...

— Chodź, niech cię przytulę biedne nieszczęsne dziecko...

Marek Twain.

(Dokończenie nastąpi.)

Jeszcze wciąż można zapisywać

„PRACĘ"

na miesiące listopad i grudzień.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na listopad i grudzień

tylko 84 fen.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę" z **Poznania.**

W 2-gim numerze rozpoczęliśmy druk niezmiernie ciekawej, nader zajmującej i sensacyjnej powieści p. t.

Śpiewaczka ludowa

z bardzo licznemi illustracyami.

Powieść oparta na faktach historycznych z r. 1815, jest tak interesująca, że trudno się od niej oderwać.

Obszerny bardzo początek tej powieści — 21 wielkich arkuszy „Pracy" — dostarczymy nowym abonentom bezpłatnie.

Tak obszerny początek tej nader pięknej powieści przewyższa wartość ćwierćrocznej przedpłaty na „Pracę", każdy więc nowy abonent powinien korzystać skwapliwie z niezwykłej oferty.

Na franko prosimy nadesłać 20 fenygów w znaczkach pocztowych.

Każdy nowo przybyły Abonent niech nam doniesie dokładnie, od którego numeru „Pracy" życzy sobie mieć powieść p. t. „Śpiewaczka ludowa." Jednocześnie upraszamy tych Szanownych Abonentów, którzy już otrzymali pierwsze arkusze tej powieści, a życzą sobie mieć dalsze, o łaskawe dokładne doniesienie nam, które arkusze przysłać im mamy. W każdej „Pracy" jest każdy arkusz powieści numerowany, więc należy n. p. donieść: „proszę mi przysłać arkusze 18, 19, 20 lub też arkusze 15, 16 i 17 i t. p." Na dowód prosimy załączyć kwity pocztowe abonamentowe.

Komu zależy na punktualnem, regularnem otrzymywaniu „Pracy", niech zamówi „Pracę" na poczcie. Jest to najwygodniej i najlepiej.

Nadzwyczajne

piękne premium,

Każdy z Czytelników, który nam zjedna **trzech nowych abonentów** i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premium za nadesłaniem 50 fenygów w znaczkach pocztowych na porto

kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach w pięknej oprawie z wyzłoconym grzbietem (najnowsze wydanie).

Kto z Czytelników chce te książki od nas kupić, ten niech nadeśle nam 2 marki na książki oraz 50 fenygów na portoryum, razem 2 marki 50 fen., a otrzyma odwrotnie ***kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach*** za bezcen.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna **jednego nowego abonenta** i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako

premium

piękny obraz historyczny w kolorach, oraz *zajmującą książkę powieściową* za nadesłaniem 10 cio fenygowego znaczka pocztowego na porto.

Sprawa orkiestry.

Obieramy pismo następujące:

„Szanowny Panie Redaktorze!

W gazetach codziennych umieścił p. Edmund Ryger, dyrektor teatru, oświadczenie tej treści:

„Krążą po mieście pogłoski, jakoby kapela teatralna, zwana orkiestrą „Towarzystwa Muzycznego,“ utrzymywaną była przez toż towarzystwo. W interesie prawdy objaśniam, że *nominalna orkiestra* Towarzystwa muzycznego faktycznie grywa i kształci się w teatrze, za co otrzymuje z teatru pensyę 1100 marek miesięcznie i osobne honorarya za wykonywanie operetek, co razem wynosi miesięcznie przynajmniej 1300 mrk.“

Na to oświadczenie, pisane „w interesie prawdy“ nie bez domieszki tendencyjnej złośliwości, zrozumiałej wprawdzie tylko dla tych, którzy znają stosunki i wypadki z ostatnich kilku dni, tyczące się stosunku orkiestry Towarzystwa muzycznego do dyrektora teatru p. Edmunda Rygera, uważamy — tj. zarząd Towarzystwa muzycznego za konieczne oświadczyć, resp. sprostować *„właśnie w interesie prawdy“* co następuje:

Nie rozumiejąc przedewszystkiem, zkąd p. dyrektor Ryger ni ztąd ni zowąd w pismach publicznych uzurpuje sobie prawo roztrząsania kwestyi utrzymania orkiestry Towarzystwa muzycznego stwierdzić jesteśmy zmuszeni, że w tym krótkim artykuliku p. Edmunda Rygera z 5 punktów przez niego cytowanych tylko 2 zgadzają się z prawdą, t. j.:

1) to, że orkiestra Tow. muzycznego gra w teatrze — to jest fakt;

2) że orkiestra pobiera gaży miesięcznej 1100 marek na osób 16 (a więc na każdego kapelistę przypada 65 mk. na miesiąc);

trzy inne punkta są nieprawdą, a więc:

1) nieprawdą jest twierdzenie, że orkiestra Towarzystwa muzycznego nie jest utrzymywaną przez Towarzystwo muzyczne. Towarzystwo przed 3 laty utworzyło orkiestrę i ją finansuje. W jaki to czyni sposób, to jest rzeczą Towarzystwa muzycznego, a nie p. Edmunda Rygera;

2) fałszem jest, że istnieje jakaś *„nominalna“* (?!) orkiestra Towarzystwa muzycznego. Istnieje tylko *faktyczna* orkiestra Towarzystwa muzycznego. Dowodem tego jest to, że p. Edmund Ryger zawarł kontrakt co do najmu orkiestry z Towarzystwem muzycznem. Również nie istnieje żadna kapela teatralna *„tak zwana“* orkiestra Tow. muzycznego. Istnieje tylko orkiestra Tow. muzycz., która grywa w teatrze.

3) mylnem jest twierdzenie, że orkiestra Tow. muzycznego *„kształci“* się w teatrze. Takie twierdzenie wyjść może tylko z ust człowieka, ze sprawami muzycznemi wcale nie obeznanego. Przy *takich* niejednolitych zajęciach, a specyalnie w *takich* warunkach może orkiestra prędzej się „zmanierować“ niż skorzystać.

Dalej zaznaczyć chcemy, że od 3 lat istnieje orkiestra Tow. muzycznego i istnieje mimo to ,że każdego roku teatr polski 6 miesięcy jest zamknięty, a więc pan dyrektor Ryger w czasie tym gaży jej nie płaci.

Widocznem więc jest, że p. dyrektor Ryger nie jest tym dobroczyńcą, który jedynie umożliwia Towarzystwu muzycznemu utrzymanie orkiestry, jakby to z tego oświadczenia sądzić można. Przeciwnie orkiestra nie mogła bardzo wiele zamówień przyjąć wskutek tego, że jest zajętą w teatrze.

Chcąc zapobiedz temu, żeby te fałszywie przez p. Edmunda Rygera, dyrektora teatru, w jego oświadczeniu przedstawione fakty nie zaszkodziły Towarzystwu muzycznemu, przeciw któremu są zwrócone, ogłaszamy powyższe sprostowanie, zaznaczając zarazem, że dla nas sprawa ta jest załatwioną i że w dalszą polemikę z p. Edmundem Rygerem się nie wdamy, chociażby powziął zamiar odezwania się raz jeszcze w pismach publicznych w sensie podobnym, jak to uczynił w artykule pierwszym.

Zarząd Towarzystwa muzycznego: Dr. K. Jarnatowski. Dr. Karwowski. Dr. Pernaczyński. Mieczysław Eichstaedt. Nep. Rutkowski. Dr. Fr. Chłapowski. Dyr. Więckowski. B. Dembiński. Kruszyński.

W imieniu zarządu uprzejmie prosząc o łaskawe umieszczenie powyższego sprostowania, kreślę wyrazy głębokiego szacunku.

Dr. K. Jarnatowski.

Wiadomości.

— *Stan zdrowia* Najprzewielebniejszego Ks. Arcypasterza jest bardzo niezadawalniający, chociaż bezpośredniego niebezpieczeństwa niema. Kilka dni temu był u dostojnego pacyenta prof. Renwers z Berlina, a w zeszłym tygodniu przybył prof. Baranowski z Warszawy. Potrzeba absolutnego spokoju zniewoliła Ks. Arcypasterza do tego, że zarząd dyecezyi oddał w ręce Najprzewielebniejszego Ks. Biskupa dr. Likowskiego.

— *Pan Maciej Wierzbiński*, dotychczasowy nasz współpracownik, wystąpił z redakcyi „Pracy.“

— *Prokurator* cofnął rewizyę w procesie gnieźnieńskim przeciw członkom Komitetu wrzesińskiego.

— *Do skompletowania* roczników „Pracy“ potrzebne są nam numera *40* i *41* z roku bieżącego. Kto z Szanownych Czytelników ma te numera na zbyciu, niech je nam zechce nadesłać, a wywdzięczymy się za to w inny sposób.

— **Stolarstwo artystyczne**, łączące w sobie sztukę i przemysł, powinno się u nas z postępem czasu rozwijać i prosperować. Niestety pole to jeszcze przeważnie zarosłe chwastem i tylko rzadko napotkać możemy rzeczywistego stolarza - artystę. Mamy wprawdzie w mieście naszem wiele magazynów mebli, ale właściciele tychże to przeważnie ludzie nie fachowi, żydki, zachwalający swój tandeciarski towar. Wobec tej nierzetelnej konkurencyi trudna jest walka o chleb właścicieli magazynów mebli, stolarzy z zawodu, wykształconych w swym fachu należycie, a dążących do zjednoczenia teoryi i praktyki w przemyśle, celem wskazania mu nowych dróg żywotniejszych. To też moralnym naszym obowiązkiem być powinno, abyśmy popierali tylko stolarzów z zawodu, przedewszystkiem stolarzów-artystów, posiadających magazyny mebli własnej fabrykacyi. Do nich należy bezsprzecznie p. *W. Gabryelewicz*, właściciel wielkiego magazynu mebli przy ulicy Wiktoryi 19, polecający w stale zamieszczanych w „Pracy“ ogłoszeniach meble znanej dobroci w wielkim wyborze. Kto chce nabyć bądź całą wyprawę, bądź garnitur wyściełany, bądź też jakikolwiek sprzęt domowy czy wykwintny, czy też pojedyńczy tanio i rzetelnie, niech się uda z zaufaniem do wyżej wzmiankowanej firmy, niech zakupi tam meble, a zadowolonym będzie zupełnie.

— **Zwracamy** uwagę na ogłoszenie firmy „Szczeciński hurtowny handel śledzi i nafty, Maciejewski i Sp.“ w Poznaniu przy W. Garbarach 23, która zaopatrzyła skład swój w wielkie zapasy szkockich śledzi, śledzi opiekanych, margaryny i naftę we wszelkich gatunkach po cenach hurtownych. Polecamy firmę tę polską uwadze Szan. Czytelników naszych.

— **Otwarcie** akademii niemieckiej nastąpiło w mieście naszem dnia 4-go b. m. przed południem w gmachu muzeum prowincyonalnego. Na uroczystość tę przybyli minister Studt, szef kancelaryi Rze-

szy Conrad, jako też ks. kanonik Wanjura. Gości zebrało się około 800, byli to przeważnie urzędnicy tutejszych władz, oficerowie, nauczyciele i obywatele Niemcy. Minister Studt na wstępie odczytał mowę urzędową i wręczył rektorowi akademii statut podpisany przez króla.

Następnie przemawiał dyrektor Kühnemann, który nadmienił pomiędzy innemi, iż charakter akademii ma być czysto niemiecki. W imieniu kanclerza hr. Bülowa przemawiał szef kancelaryi rzeszy Conrad; po nim zabierali głos: naczelny prezes Waldow, rektorzy uniwers. w Berlinie i w Wrocławiu, starosta krajowy Dziembowski, archiwaryusz Prümers, dyrektor Priebe i nadburmistrz Wilms. Akt otwarcia akademii trwał półtorej godziny.

Dotychczas zgłosiło się już 400 słuchaczów, pomiędzy nimi zapisała się żona naczelnego prezesa Waldowa na słuchaczkę. Naczelny prezes Waldow ma jako kurator wstęp wolny na wszystkie wykłady.

Zmarli.

† Ś. p. *Antoni Smelkowski* dnia 5-go b. m. w Poznaniu w 63 roku życia.

† Ś. p. *Ferdynand Franek*, pozasłużbowy sekretarz pocztowy, dnia 5-go b. m. w Poznaniu w 71 roku życia.

† Ś. p. *ks. Edward Kempfer*, proboszcz w Ciosańcu, w dekanacie wschowskim, dnia 6-go b. m. Urodzony 1822 r., święcenia kapłańskie otrzymał 1854 r., a od r. 1871 był proboszczem w Ciosańcu.

Ruch w Towarzystwach.

— **Poznań.** W poniedziałek 16-go b. m. urządza Towarzystwo Pań miłosierdzia na św. Łazarzu na dochód mającej się tamże założyć ochronki, przedstawienie teatralne, wykonane łaskawie przez artystów teatru polskiego. Program wielce urozmaicony. Po przedstawieniu zabawa z tańcami. Bliższe szczegóły podają afisze.

Biletów po 2 mk., 1,50 mk. i 1 mk. oraz do stania po 50 fen. nabyć można u pp. Drostego w Bazarze, Pepla ul. Głogowska Nr. 75 i Kłosowicza ul. Głogowska Nr. 99. Początek przedstawienia o godzinie 8.

O liczny udział Szanownej Publiczności, dla poparcia tak pożytecznej sprawy uprasza

Zarząd.

— **Śrem.** W niedzielę dnia 22-go b. m. odbędzie się *walne zebranie* Tow. ogrodn. w lokalu p. Westphala o godz $2^1/_2$.

Porządek dzienny:

1) Zagajenie walnego zebrania przez prezesa p. Grabowskiego.
2) Sprawozdanie sekretarza.
3) Sprawozdanie kasyera.
4) Obór nowego Zarządu.
5) Walne wnioski.
6. Odczyt p. Poszwy z Gorzyczek: o hodowli kwiatów doniczkowych jesiennej pory w pięciu odmianach.

Na ostatniem zwyczajnem zebraniu miał odczyt bardzo pouczającej treści p. Michalak z Głuchowa: o hodowli wina na francuzki sposób z własnej praktyki.

O liczny udział uprasza

Zarząd Tow. ogrodn. w Sremie.

— **Zain.** Dnia 15 listopada urządza tutejsze Kółko śpiewu-kościelnego pod wezwaniem św. Cecylii przedstawienie amatorskie na sali p. Bukowskiego. Odegrane zostaną: komedya „Pojedynek amerykański“ i komedyoopera „Miłostki ułańskie“ Prócz tego wygłoszony będzie monolog i odbędą się śpiewy na 4 głosy męzkie. Dochód przeznaczony na zakupienie instrumentów muzycznych.

O liczne przybycie prosi

Zarząd.

— **Grodzisk.** Towarzystwo Katolickich Robotników w Grodzisku, urządza w niedzielę 15go b. m. o godz. 8 wieczorem przedstawienie amatorskie, na które wszystkich życzliwych rodaków uprzejmie się zaprasza.

Odegrane będą następujące sztuki: I. „O chlebie i wodzie.“ II. „Okrężne“ na sali p. Węclewicza.

Po przedstawieniu odbędzie się zabawa z tańcami.

Zarząd.

Jan Grześkowiak, prezes.

— **Z Hamburga.** Dnia 15-go listopada odbędzie się na sali Tivoli Bilhorn-Rohrendamm jesienna zabawa naszego *Tow. Rękodzielników.* Nasi amatorzy odegrają wesołą sztukę: „Gwałtu co się dzieje.“

Przedstawienie rozpocznie się punkt o godz. 8-ej. O liczny udział rodaków uprzejmie uprasza *Zarząd.*

Wiadomości literackie.

Po półrocznem więzieniu, po chorobach i powrocie z dłuższej kuracyi, teraz wydawca „Komara“ wszelkich dokłada starań, aby to pismo znów mogło wytrzymać porównanie z najlepszemi tego rodzaju wydawnictwami. A ta staranność redakcyi widoczna pod każdym względem. „Komar“ istotnie bardzo dodatnio się wyróżnia zarówno dowcipem i ciętą satyrą jako też artystycznem wykonaniem licznych, a naszego życia dotyczących illustracyi. Ostatni np. (Nr. 31), nie pozostawia prawie nic do życzenia. Z 8 zdobiących go rysunków, dwa ośmieszają zmianę nazwisk, dwa znów dowcipnie charakteryzują obecne stosunki na Śląsku, jeden zaś odnosi się do Galicyi i t. d.

Wogóle, już od kilku lat istniejący „Komar“ dobrze swe zadanie pojmuje i spełnia je o ile to w naszych warunkach możliwe; powinien przeto jaknajszersze znaleźć koło czytelników, bo nam takie pismo satyryczno-humorystyczne bardzo tu potrzebne, a może i powinno mieć poparcie. Zresztą dziś, na te ciężkie czasy, każdemu, oprócz poważnej strawy dla ducha, i garść śmiechu też nie zawadzi; warto więc zapisać sobie „Komara“ zwłaszcza, że do licznych jego zalet, przybywa teraz jeszcze jedna, mianowicie nadzwyczajna taniość, która go dla wszystkich uczyni dostępnym.

Wydawca bowiem zamierza od nowego roku objętość jeszcze powiększyć, a mimo to, prenumeratę zniżyć do minimum, licząc tylko na większą liczbę abonentów, bo jedynie wtedy mogą się pokryć znaczne koszta nakładu. Aby zaś już teraz dać szerszej publiczności sposobność bliższego zapoznania się z tem pismem, zniża też cenę pojedyńczych egzemplarzy 30 pierwszych numerów z 40 fen. aż no 10 fen., a nawet i na 5 fen. tych 7 numerów, które w czasie jego więzienia wyszły bez illustracyi. Pieniądze zaś można posłać na jeden lub więcej numerów, choćby na wszystkie, które teraz kosztują razem tylko 2,55 m. i to już z przesyłką, zamiast 12 m. jak dotychczas — za dopłatą zaś 1,45 mrk. można też mieć i piękną oprawę. Warto więc, powtarzamy, skorzystać z tej sposobności, zanim się szczupły zapas wyczerpie. Adres: „Komar“ ul. Fryderykowska (Friedrichstr.) 12, Poznań (Posen).

OD REDAKCYI.

Panu A. w D. — Z listu Szanownego Pana nie możemy się dorozumieć o jakie właściwie wskazówki Panu chodzi.

Pani W. C. w Królewskiej Hucie. — Mamy już współpracowniczkę stałą, więc na razie z oferty Szanownej Pani korzystać nie możemy.

Panu O. w Buczaczu (*Galicya*). — Wierszyk do N...... nie nadaje się do „Pracy.“ Zamieść go Pan w albumie swej ubóstwionej, a ona rozczaruje się, gdy te w wierszyku przeczyta słowa:

„Wzięłaś serce moje w pęta
„Władczyni Ty ma,
„Dziś za Tobą w ogień pójdę
„Błędny niby ćma.“

Czytelnikowi w Koźminie. — Wystąp Pan z otwartą przyłbicą, a damy Panu należytą odpowiedź.

„Pielgrzymowi.“ — Dziękujemy najuprzejmiej; zamieściliśmy. O stosunkach tamtejszych chętnie zamieścimy korespondencye, ale muszą być krótkie i treściwe.

Panu Janowi J. w Oberhausen. — Urodził się we wsi Warszcie pod Zdunami w W. Ks. Poznańskiem.

Pani Leokadyi Z. w Osiu. — Udaj się Pani po informacye do dyrektora król. szkoły budowlanej w Poznaniu pod adresem: „Direktion der Königl. Baugewerk-Schule zu Posen, Wiesenstrasse 7.“ Trzeba pisać po niemiecku. Kurs zimowy rozpoczął się już od połowy z. m.

Panu H. K. w Kostrzynie. — Wierszyk p. t. „Młodość“ jest powszechnie znany, dlatego nie zamieścimy.

Jednemu z uczestników weselnych w O. — Prosimy antora o podanie nazwiska, a chętnie zamieścimy notatkę.

FABRYKA
Papierosów i tureckich tytuni
„VULKAN“
I. F. J. Komendzinski w Dreznie
zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie, które w wszystkich główniejszych odnośnych handlach są do nabycia. Podróżujących z zasady nie wysyła, oblicza natomiast przystępniejsze ceny i postawia lepszy towar.



Dział kobiecy.



Chinka, chcąc uwidocznić swe sztucznie zdrobniałe nóżki, nie nosi długiej sukni, lecz szerokie pantalony. Kobieta w środkowej Europie ma długi stan, a że własność tę uważa za zaletę, więc nakłada gorset, aby ją uwydatnić. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że mimo perswazyi, gorsetu się nie zrzecze ,gdyż ma on swe uzasadnienie w instynkcie rasowym.

Odzież kobieca, rasa i kształt ciała

Na kongresie przyrodników w Hamburgu miał dr. Stratz w oddziale antropologicznym odczyt o wpływie rasy na kształt ciała i na odzież kobiecą. Prelegent, który już poprzednio wydał książkę p. t. „Piękność ciała kobiecego.“ wziął sobie za zadanie wyjaśnić powstanie i rozwój odzieży kobiecej nietylko ze stanowiska hygieny, lecz i historyi kultury. Wykazuje zatem *przedewszystkiem*, iż budowa ciała u różnych ras znacznie się różni. I tak kobiety germańskie i romańskie mają stosunkowo dłuższe członki, dłuższe stany i niższą głowę, aniżeli kobiety mongolskie i u innych ras. Wszędzie też odzienie obliczone jest tak, iżby ile możności uwydatniało znamiona rasowe. To co w modach europejskich często uważają za kaprys lub nonsens, ma jednak swe źródło w warunkach kulturno-dziejowych.

Dr. Stratz odróżnia dwa główne typy odzieży: typ arktyczny i tropikalny. W pierwszym praktyczność przeważa nad pięknością, jest bowiem przeznaczony dla ostrego klimatu i nie znosi wielu ozdób. Przeciwnie rzecz się ma z odzieniem tropikalnem, którego głównym celem jest upiększenie ciała. Stąd też taka ilość ozdób, bądź to wkładanych — jak obrączki w nosie i na nodze — bądź też malowanych lub farbą zapuszczanych (tatuowanie). Pas przeznaczonym był pierwotnie do zawieszania licznych ozdób; między innemi przyczepiano doń także pstre gałganki, i z tych to z czasem powstała suknia. Wszędzie też odzież odpowiada ideałowi piękności danego narodu.

Dr. Stratz, wychodząc z takiego punktu widzenia, jest mniej radykalnym w swych hygienicznych postulatach, niżeli inni reformatorowie odzieży kobiecej. To czego żąda: gorsety hygieniczne i suknie niezbyt obcisłe, umocowane na szelkach, dałoby się bez trudu przeprowadzić. Słuszną jest uwaga prelegenta, że i w hygienie nie należy postępować zbyt radykalnie i z zaniedbywaniem wszelkich względów estetycznych.

Kobiety na urzędach w Austryi

Pod tym tytułem ukazała się książka p. Nowinskiego, zawierająca dużo cennych danych o pracy kobiet w urzędach austryackich. Naogół w porównaniu z ilością urzędników, kobiet na urzędzie w Austryi jest bardzo niewiele — 9000. Tylko w niektórych gałęziach służby, na pocztach i telegrafach państwowych w czynnościach manipulacyjnych jedną czwartą urzędniczego personału stanowią kobiety, a na pocztach niepaństwowych 40 procent.

Następnie znaczna ilość kobiet pracuje w biurach kolejowych, w pocztowych kasach oszczędności. Około 90 prc. kobiet, zatrudnionych w urzędach, pracuje na pocztach. Objaśnia się to dążnością poczt austryackich do oszczędności.

Płace kobiet są bardzo nizkie. Początkująca manipulantka pobiera 60 kor. miesięcznie, później dochodzi do 75 koron. Wynagrodzenie w biurach kolejowych jest nieco wyższe, początkująca rozpoczyna od 75 koron, płace 100 i 150 koron nie są zbyt rzadkie. Kobiety oznaczają się większą grzecznością wobec publiczności, niż mężczyźni urzędnicy i są bardzo sumienne. Niektórzy jednak, prawdopodobnie starzy biurokraci uskarzają się, że praca kobiet rozluźnia dyscyplinę w urzędzie i kobiety młode, które jeszcze nie utraciły nadziei zamężcia, nie są należycie poważne.

Fabrykacya perfum na Riwierze

Miejscowość Grasse na Riwierze, obecnie jedna z najbardziej przemysłowych, oddawna już głośną była z fabrykacji perfum. Jest tam 35 fabryk, wyrabiających essencje. Przecięciowo rocznie przerabia się w nich1,200,000 klg. róż i 300,000 klg. kwiatu pomarańczowego i sprzedaż takowych esencyi obliczono na 5 milionów franków. Pola kwiatowe zajmują 25,000 hektarów. Dziewięć fabryk perfum jest własnością Vallauris'a. Głównym produktem tego znacznego przemysłu jest olej Neroli, wytwarzany z kwiatu gorzkich pomarańcz. Kilo tego oleju kosztuje do 300 fr. Z łupin gorzkich pomarańczy wyrabia się olej pomarańczowy; bardzo mało oleju wytwarza się z łupin słodkich pomarańcz. Wydatna jest również fabrykacya wyciągów niższych, przyczem na jeden litr wyciągu spożytkowuje się 12,000 kilogramów róż, wartości 1,200 — 1,500 fr. Tak zwany olejek różany robi się z rodzaju trawy „Andropogon Schoenanthus“. Z wielkich kwiatów jaśminu wytwarza się przyczem 100 kg. tego kwiatu daje ledwie 12 grm. esencji. Hektar pola, zajęty na uprawę jaśminu, przynosi rocznie 15,000 franków dochodu, wymaga jednak również dużo pracy. Pełne worki sprzedawano poprzednio w cenie 5—10 fr. za kilo, teraz spadły na 2 fr. 50 cent. tak, że pół kilo wyciągu proszkowego kosztuje 18—20 franków. Z kwiatów „Pelargonium Capitatum“ i t. p. robi się olejek geranium, a tak samo z kwiatów tuberozy (rodzaj hyacentów), i z narcyzów, nazwanych „Jonquil“ wytwarza się perfumy, jak również z liści Citronelli (Lippia Citriodora), z korzeni fiołkowych (Iris florentina, rodzaj lilji), z kwiatu paczuli, drzewa santałowego i innych.

Popyt na esencje w żadnym razie nie zmalał w ostatnich czasach. Jakkolwiek wiele perfum uznano dla systemu nerwowego jako szkodliwe, to natomiast inne doczekały się na nowe uznania, jako cenne środki antyseptyczne. I tak: bakcyl tyfusu zabija esencja cynamonowa w przeciągu 12 minut, zaś tymiankowa w 35, majerankowa w 75, a paczulowa w 80 minut.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Popierajmy przemysł krajowy.

Krakowska *„Prawda“* pisze:

„Najprostszą zasadą gospodarczą jest ta, że gdy jednemu przemysłowcowi, rolnikowi lub kupcowi pomyślnie się wiedzie, to inni także mają się lepiej. Weźmy prosty przykład pod rozwagę: Jeżeli szewcowi wiedzie się dobrze, to krawiec także więcej zarobi, gdyż szewc zamówi u niego lepsze ubranie i gotówką za nie zapłaci, rolnik również odczuje zamożność szewca, lekarz tak samo i inni, gdyż szewc ma czem rozporządzać.

Gdyby się podniósł przemysł w kraju, to dźwignęłoby się także rolnictwo, tysiące robotników pozostałoby w kraju, pozostałyby kapitały pracy w naszym kraju.

Niestety przemysł nasz upada, a gdyby tak dalej trwało, to stoczymy się w przepaść bankructwa gospodarczego.

Czy rzeczywiście wyroby przemysłu krajowego są gorszej jakości, niż zagraniczne? Bardzo często nasze są lepsze, a mimo to zalewają nas obcy swoimi wyrobami dlatego, że nie popieramy swoich, że dajemy pierwszeństwo gorszym obcym, przed swoimi lepszymi.

Mamy doskonałe płótna, hafty, sukno krajowe. Nawet tutki do papierosów wyrabia fabryka w Sassowie w Galicyi, które wędrują do Francyi, Turcyi i stamtąd przychodzą do nas z napisami francuskimi, bo z polskimi napisami nie kupowaliby jako swoich wyrobów Polacy. Mamy fabrykę zapałek, a mimo to w sklepach trudno spotkać zapałki z polskiej fabryki, albowiem powiadają kupcy, że polskie zapałki wydają nieprzyjemną woń, choć tak nie jest w rzeczywistości.

Oprócz naszego niedbalstwa są jeszcze inne przyczyny, dla których przemysł krajowy nie może się rozwinąć. Takiemi są: wysokie taryfy kolejowe, opłaty cłowe, kartele itp., lecz mimo tych przeszkód potrafimy podnieść i rozwinąć nasz przemysł krajowy, gdy będziemy powodowali się patryotyzmem w wyborze przy kupnie wyrobów krajowych.

Tu jednak trzeba rozróżnić produkty potrzebne do codziennego życia, które nabywają ludzie ubodzy, od wyrobów, których potrzebują zamożniejsi. Nie można bowiem żądać, ażeby ubogi z pobudek patryotycznych płacił znacznie więcej za ubranie, za chrzan, cebulę i t. d. Lecz zamożni powinni to czynić, zwłaszcza, gdy kupuje się przedmioty do wygodnego życia, ozdoby domu itd. potrzebne. Wtedy różnica jednej lub nawet czterech marek nie powinna nas odstręczyć od kupowania wyrobów krajowych, choćby te wyroby nawet powierzchowną jakością nie błyszczały tak ponętnie jak obce, jeżeli tylko wartość wewnętrzna jest dobra.

Takiemi to sprawami zajmowano się na wiecu przemysłowców i kupców dnia 25 b. m. w Krakowie. Ażeby zaś usilowania te nie zgasły szybko jak ogień słomiany, dlatego założono towarzystwo „obrony polskiego przemysłu i handlu.“ Jego zadaniem będzie obudzić w całem społeczeństwie polskiem zamiłowanie swojskich wyrobów, wystarać się u władz i instytucyi, by potrzeby swe zaspokajały wyrobami krajowymi.“



Jak gospodarują w Danii?

Ażeby przekonać Czytelników naszych, jak wielkie korzyści osiągać można z gospodarki postępowej, skierowanej do hodowli krów mlecznych, podajemy poniżej opis takiej gospodarki w Jutlandji. *) Opis ten zawdzięczamy czcigodnemu księdzu Ortwedowi, Duńczykowi, który z iście Chrystusową miłością opiekuje się ludem naszym, wychodzącym na roboty do Danji.

Oto opis gospodarki pewnego gospodarza w Jutlandji:

„Rolnik ten posiada 650 morgów ziemi ornej i 150 morgów łąki. Na tej przestrzeni utrzymuje 300 krów dojnych, 150 sztuk jałowizny, 7 buhai, 1,100 sztuk trzody chlewnej, 40 koni roboczych i 6 źrebiąt własnego przychowku. Dla użytku swojego, do wyjazdu, utrzymuje tylko 1-o albo 2 konie najwyżej. Bydło w części u gospodarza tego jest rasy Angler, ze Szlezwigu, zabranego Duńczykom przez Prusaków, w części zaś rasy wschodnio-fryzyjskiej; trzoda chlewna rasy „Jorkszir“, krzyżowanej z miejscową duńską.

Krowy dojne stale stoją w oborze, konie na stajni, a tylko jałowizna i źrebięta podczas lata wypędzane bywają na pastwiska. Zadawanie paszy krowom dojnym odbywa się w stosunku następującym: w zimie — buraków siekanych 50 do 100 funtów, słomy tyle, ile krowa zjeść może, w lecie buraki zastępuje pasza zielona. Średnia wydajność mleka liczy się po 10 funtów na udój; jeżeli jednak krowa daje mleka 5 funtów więcej — to otrzymuje nadto i ćwierć funta placków (makuchu), zawierających w sobie dużo białka. — Bywają jednak i takie krowy, które dziennie dają więcej niż 45 funt. mleka i tym do paszy zwykłej dodaje się jeszcze 5 funtów siana. Dojenie odbywa się trzy razy dziennie, do czego używani są mężczyzni lub kobiety, po 20 krów na osobę. Przeciętnie każda krowa w oborze tego gospodarza wydaje 7,500 funtów mleka rocznie; ma wszakże jednę, ale tylko jednę, która wydaje aż 12 tysięcy 400 funtów mleka.

Mleko sprzedawane bywa do mleczarni akcyjnej, której sam właściciel majątku jest wspólnikiem.

W gospodarstwie rolnem ugoru wcale niema, wszystka ziemia bywa obsiewana stale, a tylko 40 morgów jest pod pół-ugorem, obsiewanym wcześnie dojrzewającemi roślinami pastewnemi. Nawozów sztucznych nie używa prawie wcale; obornik wynoszony bywa ze stajni codziennie, a gnojówka spływa do studzienki cementowej, skąd czerpią ją i rozlewają po łące. Do omłotu zboża posiada młocarnię parową, obsługiwaną przez trzech odbieraczy i 3-ch wiązaczy.“

Tyle pisze Szanowny ks. Ortwed o gospodarstwie jednego ziemianina, posiadającego taką przestrzeń ziemi, jaka u nas uważaną jest dotąd za folwark. Ale nasz folwark nigdy nie jest w stanie wyżywić tyle inwentarza, co tam. Inna kultura, inna gospodarka.



*) Dania leży na półwyspie.

Dodatek Humorystyczny.

Babi sabat.

Od dawna rzeczą to utartą,
Że „Babie lato“ jest w jesieni.
W tej porze, gdy pajęczyn włókno
W słońcu jak srebrna nić się mieni.
Czas zerwać z fałszem i obłudą:
Precz przestarzałe komunały!
Nie: „Babie lato“ — „Babi sabat!“
Jest w każdej porze przez rok cały.

Wybitną rolę gra tu miłość...
Ach, nie ta, co wymyślił Plato,
Co jest całuskiem przez papierek
Zawsze: „adagio — moderato“.
Ale ta miłość: „con fuoco!“
Ale ta miłość, biedny człecze,
Którą cię „baba“, jak postronkiem
Szatańską siłą w piekło wlecze.

Zaczyna się to tak zazwyczaj
Niewinnie jakoś i bez grzechu:
Od westchnień cichych, od półsłówek
Zarumienienia i uśmiechu,
Uścisków dłoni, wyznań, przysiąg:
W ten sposób każda białolica
Zarzuca na cię zdradne sieci,
I nim się ockniesz: — jest pętlica!

Ach! jakiż to był poszum skrzydeł!
Jak szczytne nad poziomy rwanie,
Kiedy za sprawą łaski bożej
Duch-orzeł zbudził się w młodzianie!
W tem spotkał „babę“ — mów: anioła
Z czarnem, co siłę ma demona...
Dziś omotane pajęczyną
Duch zwiesił skrzydła smutnie... kona.

Są mniej tragiczne też sabaty,
Zna je niejeden już dobrodziej:
Dyrektor, prezes, szef, redaktor,
Każdego „baba“ za nos wodzi.
Jak oni wielcy są w urzędzie!
Jak ich podwładnych rzesza słucha!
A w domu — wieczne: „Babie lato“
W pajęczej przędzy drży mąż-mucha.

Fe, fe — to skandal! — czas nareszcie,
By stracił władzę tę despota,
Co nas urokiem swoich wdzięków
W „Babiego lata“ sieci mota.
Tylko energii i odwagi!
Do góry dumnie wznieśmy czoła!
Formuję legion wyzwolonych...
Zaraz...
przepraszam...
żona woła!...

Kazet.



W teatrzyku prowincyonalnym.

Dyrektor: Grałeś pan wczoraj Romea, ale zimno, obojętnie, bez najmniejszego uczucia... Cóż u licha, nie umiesz pan całować?

Amant: I owszem, ale powiedz pan Julii, żeby się odzwyczaiła od jedzenia cebuli.



Złośliwość.

Myśliwy (opowiadając): Ledwo kwadrans znajdowałem się na polowaniu, a już zając leżał u moich nóg.

Dama: Czy i wśród zajęcy bywają samobójcy?



Ujęty za słowo.

A. U licha, to mi ręka swędzi!

B. Znak, że odbierzesz dziś jeszcze pieniądze.

A. W takim razie pożycz mi 30 marek.



Pewność.

Nowy lokator: Czy aby to mieszkanie jest pewne, bo posiadam wiele kosztowności.

Gospodyni: Może pan być spokojny, mój mąż znajduje się pod dozorem policyi.



Różne powody.

Urzędnik: Nie, jeszcze się żenić nie mogę, mam za mało dochodów.

Hrabia: Ja także, bo mam za mało długów.



Naiwność.

Mały Staś (do matki po śmierci swej siostrzyczki): Nieprawdaż, Mamo, jak Bozia chce mieć aniołka, to pisze do pana doktora?

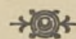


AMALTEA.

(Bajka).

Zeus, wdzięczny swej mamce, kozie Amaltei,
Która go wykarmiła niby własne jagnie,
Raz ją spytał, czy łaski bożyszcza nie pragnie,
Czy nie ma jakich życzeń lub słodkich nadziei?...
„Spełnię wszystko!“
— „Chcę błyszczeć, koza odpowiada,
A kondycyę bydlęcą porzucićbym rada.“
Rzekła — i wnet ją Zeus w piękną gwiazdę zmienia;
Zda się, że nie zostało z kozy ani cienia.
Minęły długie wieki. Aż raz Gromowładny
Znów pyta, czy już gwiazda nie ma prośby żadnej?
„Nieźle mi jest, odrzekła, prawie mam tu Eden,
Lecz gdybym jeszcze mogła... beknąć choć raz jeden!...“

B. Hertz.



Złośliwie.

Zosia: Wyobraź sobie, ciotka zapisała cały majątek fundacyi dla starych panien!

Mania: A więc jednak pamiętała o tobie!



Na ulicy.

— Czego beczysz, mały?
— Bo mój majster ,to żywy zegar.
— Co ty gadasz?
— Co kwadrans bije.



Z teki myśliciela.

Wielu ludzi czuje się dlatego ubogimi, że są za bogaci — w pragnienia.

— Życie jest tylko podróżą, ale tak męczącą, że gdy człowiek ją kończy, to mu brak oddechu.

Świat ma miejsce dla każdego —
To mnie tylko biedzi,
Że gdy zająć radbym które,
Już tam drugi — siedzi.



Także cierpienie.

Pani X.: Ona bardzo cierpi z powodu swojej wiary.

Pani Y.: Nie możliwe! w naszym wieku! I nikt nie stanie w jej obronie?

Pani X.: To nie podobieństwo, bo ona wierzy, że jej stopa dlugości trzydziestu centymetrów zmieści się w trzewiku dwudziestopięcio centymetrowym i że gorset nr. 11 zastąpi potrzebny jej nr. 16.



Dział powieściowy.

SPIEWACZKA ŁUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1851.

21)

(Ciąg dalszy.)

Jeszcze raz musiałem wysłuchać oskarżenia, jeszcze raz opowiedziałem, jak się sprawa rzeczywiście miała, i potem bronił mnie jakiś młody adwokat, któremu dzień poprzednio musiałem także wszystko opowiedzieć. Młody ten człowiek nie powiedział wprawdzie wiele, ale mówił z przekonaniem i zapałem, co nawet na zgromadzonych pewne wywarło wrażenie.

Więc i on wierzył w moją niewinność.

Ale dowody przeciwko mnie zbyt były ciężkie. Znaleziono przy mnie trupa, i nikt nie chciał mi uwierzyć, gdy powiadałem, w jaki sposób go znalazłem.

Drugim, bardzo obciążającym dowodem była kartka, upoważniająca Bernsteina do odebrania od Trinkera w Wiedniu dziesięciu guldenów. Był to aż nadto wyraźny dowód, że tej nocy znajdował się Bernstein u mnie, albo ja u niego — data wykazała prawdę.

Stało tam wyraźnie: — dziewiętnastego lutego o północy. —

Ale jakim sposobem otrzymał sędzia tę kartkę? W mojej obecności włożył ją Bernstein do pugilaresu — następnego dnia znaleziono go zamordowanego, ale rzeczy jego i pieniędzy nie naruszono wcale. Oczywiście przejrzał morderca pugilares i zabrał kartkę. W jakim celu — łatwo odgadnąć — aby na mnie rzucić podejrzenie. —

Kto był tym mordercą, który miał wszelkie powody szukania kogoś, na którego mógłby zwalić całą winę!

Zapytałem sędziego, zkąd ma moją kartkę i otrzymałem odpowiedź, że przysłano ją w tym samym liście bezimiennym, w którym donoszono policyi, że zamierzam wynieść z domu trupa hrabiny.

Sprawa ta stawała się coraz to więcej zagadkową — ale niestety dla mnie — coraz smutniejszą!

Sędziowie wyszli na naradę — mój adwokat nie wiele mi dodawał odwagi!

— Ja wierzę w waszą niewinność, — rzekł, — ale pozory są przeciwko wam. Obawiam się bardzo, że sędziowie uznają was za winnego—i wtedy nie pozostanie nam nic innego, jak, chcąc ratować życie, zwrócić się wprost do cara i odwołać się do jego dobroci i łaski.

— Ach panie, — odpowiedziałem, — mnie nic na życiu nie zależy — umrę chętnie, ale przyrzeknij mi pan, że uwiadomisz o tem moją biedną żonę. Napisz jej, że ostatnią moją myślą była ona, że kochałem ją zawsze szczerze, ją i moją małą Kasię, i że umieram niewinny!

— Przyrzekam wam to, — rzekł adwokat i podał mi rękę.

Ach, ten uścisk ręki uszczęśliwił mnie nad wyraz. Widziałem, że byli jeszcze ludzie, wierzący w moją niewinność, którzy nie wahali się, podać mi ręki tak, jak każdemu innemu człowiekowi.

Sędziowie wrócili teraz na salę, i przewodniczący przeczytał wyrok:

„Oskarżony o morderstwo Michał Kamczyk skazanym jest na śmierć przez powieszenie.“

Kasia krzyknęła przeraźliwie, i idąc za popędem serca, objęła szyję ojca i przytuliła się do niego.

— Tak, — mówił Kamczyk dalej, — byłem wówczas rzeczywiście pożałowania godnym. I dzisiaj także, — dodał, wzdychając ciężko. — Odprowadzono mnie potem znowu do więzienia i nareszcie, po tygodniu może, oznajmiono mi, że nazajutrz zostanę powieszonym.

Od dawna już nie rozmawiałem z moim dozórcą, ale tego dnia był stary tak gadatliwym, że opowiedział mi dokładnie wszystkie szczegóły stracenia. Opisał mi kata i sposób, w jaki się skazanego wiesza, zaręczając, że to nic a nic nie boli, mianowicie, jeżeli kat zaraz kark złamie — w przeciwnym razie trwa ta rzecz nieco dłużej i może być nieprzyjemną.

Słuchałem opowiadania tego jednem tylko uchem, wiedziałem bowiem, że wstrętny ten człowiek mówi to wszystko dla tego jedynie, aby mi wszelką odebrać odwagę. Ale ja nie miałem strachu. Byłem już tak przygotowany na śmierć, że nie pragnąłem nawet ułaskawienia.

Ostatniego wieczora przyniesiono mi trochę mięsa i wina, i nawet tytuniu, ale ja przedewszystkiem prosiłem o papier i ołówek, chciałem bowiem napisać kilka słów do żony. Przyniesiono mi wszystko, napisałem czterostronny list i oddałem go dozórcy z prośbą, aby go wysłał. Przyrzekł mi uroczyście, że to uczyni, ale dowiedziałem się później, że list ten nigdy rąk Agnieszki nie doszedł. W nocy przybył ksiądz to jest pop ruski, modliłem się jednak z nim, bo księdza katolickiego nie byliby mi pewnie przysłali. Pop namawiał mnie nieustannie, abym wyznał prawdę, czy jestem winnym, czy nie. Był to bardzo dobry i łagodny człowiek.

— Czcigodny ojcze, — rzekłem, podnosząc rękę jak do przysięgi, — wobec Boga i mej blizkiej śmierci, zapewniam cię, że jestem niewinnym. Nie popełniłem zbrodni, o którą jestem oskarżony.

— W takim razie mój synu, — zawołał starzec, — staniesz się ofiarą niesprawiedliwości ludzkiej! Wybacz tym, którzy ci tę okropną wyrządzają krzywdę! Błogosławię cię!

Rzuciłem się na kolana, a ów starzec, z białą długą brodą i łagodną twarzą, wydawał mi się w tej chwili prawdziwym aniołem miłosierdzia i pociechy.

Nagle dał się słyszeć szelest kroków na korytarzu i zaraz też otworzono drzwi mego więzienia.

Sędzia wszedł szybko i już na progu zawołał głośno:



Jesteście ułaskawieni! Zamiast na śmierć, jesteście skazani na piętnaście lat robót w kopalniach na Sybirze! Car was ułaskawił!

— Jesteście ułaskawieni! Zamiast na śmierć, jeste-

ście skazani na piętnaście lat robót w kopalniach na Sybirze! Car was ułaskawił!

Adwokat przyszedł także i winszował mi tej łaski, ale ja nie cieszyłem się tak bardzo!

ROZDZIAŁ LI.

W kopalni żywego srebra.

Było to rzeczywiście ułaskawienie? Zamiast prędkiej śmierci wolne konanie na Sybirze?

Bo tam w kopalniach żywego srebra nie mógł nikt żyć długo, pobyt więc w tem piekle stokroć gorszym był, niż śmierć. Wiedziałem, co mnie tam czeka!

Ale mówili mi wszyscy, że mogę być szczęśliwym, że uniknąłem śmierci z ręki kata, i ani sędzia, ani adwokat nie pojmowali tej wielkiej łaski cara, zamieniającego karę śmierci na kilkanaście lat roboty w kopalniach syberyjskich!

— Zdarza się to bardzo u nas rzadko, — mówił adwokat, — mianowicie gdy chodzi o śmierć osoby tak wysoko postawionej, jak hrabina Korsakow. Ułaskawienia nigdy wtedy nie ma! Nie miałem też żadnej nadziei uzyskania go, i przyznaję, że jestem równie zdumiony jak ucieszony dobrocią cara! Winszuję wam tego z całego serca!

Trzy dni później opuściłem Moskwę.

Było nas trzydziestu, których transportowano na Sybir, a wszyscy prawie skazani, najgorszymi byli zbrodniarzami.

Ach, nie chcę wam opisywać męczarni, jakie w podróży tej przechodziłem. Szliśmy blizko trzy miesiące, a cała droga była jednem pasmem męki i najokropniejszych cierpień. Wystarczy gdy powiem, że z trzydziestu skazanych przyszło na miejsce przeznaczenia tylko jedenastu. Co się z resztą stało? O to zapytać trzeba śniegiem pokrytych stepów! Padali oni z wycieńczenia, obciążeni kajdanami, i umierali z głodu, albo w paszczach wilków. Kozacy bili nahajkami tak długo nieszczęśliwych, dopóki słabsi nie wyzionęli ducha z bólu. A więzienia syberyjskie, w których trzeba było nocować! To czeluście zarazy — tam umierali skazani na tyfus!

Nie, nie mogę mówić o tej podróży! Zdaje mi się czasem, że słyszę jeszcze dźwięk łańcucha, krępującego mi ręce i nogi, i że czuję na plecach uderzenia nahajki! Śnię nieraz o tem i gdy się obudzę, mówię sobie z największą radością, że to sen tylko, że nie potrzebuję się już niczego obawiać.

Odstawiono mnie do kopalni żywego srebra, i robota moja rozpoczęła się. Polegała ona na tem, aby siekierą odrąbywać kawały skały. Byłem skuty łańcuchami z innym jeszcze przestępcą, i obydwaj musieliśmy krok w krok chodzić za sobą. Ani na chwilę nie mogliśmy się rozłączyć.

Towarzyszem moim był pewien rosyjski oficer, który zastrzelił uwodziciela swej żony, generała, i za to skazanym został na dziesięć lat ciężkich robót na Sybirze. Pracował on tu rok dopiero, a już nosił w sobie zaród śmierci, bo wilgotna ziemia, w której nieustannie musieliśmy pracować i wyziewy żywego srebra, są prawdziwą dla ludzi trucizną. Oprócz tego złe pożywienie, spanie na gołej ziemi i rozpacz — wszystko to przyczyniało się do przyspieszenia śmierci. Byłem mocno przekonanym, że umrę wkrótce, nie ujrzawszy już nigdy słońca i nieba!

Skazanym bowiem nigdy nie było wolno wyjść na ziemię! Kto raz zeszedł w głąb kopalni, ten już nigdy z niej nie wyszedł — ten umarł dla świata i świat przestawał dla niego istnieć.

Pewnego dnia, właśnie gdy zaczęliśmy naszą pracę, upadł nagle mój towarzysz z głośnym krzykiem na ziemię, i krew rzuciła mu się ustami i nosem. Rzuciłem siekierę, starając się zatamować płynącą krew, ale on odepchnął mnie, wołając z rozpaczą:

— Daj pokój! Czemu chcesz przedłużać moje cierpienia! Ja chcę umrzeć!

Potem szepnął jeszcze kilka słów i — skończył.

Wiedziałem, że nie wolno mi było wołać na dozórcę, bo żaden więzień nie miał nawet prawa mówienia, jeżeli go nie pytano, przez cały dzień więc musiałem pracować — z trupem, przykutym do mnie! Możecie sobie wyobrazić, co się w duszy mojej działo!

Wieczorem dopiero uwolniono mnie od niego, a ja zazdrościłem zmarłemu! On już nie cierpiał! Ja zaś nie byłem tu jeszcze roku, a włosy moje zbielały i siły zwolna ustawać zaczęły. Byłem pewny, że niedługo umrę tak samo jak umarł mój towarzysz, i czekałem na dzień ten z największą niecierpliwością.

— Biedny ojcze! — szepnęła Kasia, całując jego ręce.

— Ach, — zawołał Leon, zaciskając pięści, — czemu są ludzie, mający taką władzę nad innymi? Kto wynalazł kajdany i łańcuchy? Przeklętym niech ten będzie!

— Śmierć jednak na zawołanie nie przychodzi, — mówił Kamczyk dalej, — i niktby nie uwierzył, ile człowiek posiada nieraz siły odpornej. Dusza chciałaby się wyrwać z świata, a ciało żyje i nie chce umierać! Doświadczyłem tego na sobie — pragnąłem śmierci, tymczasem rozpoczął się drugi rok mego pobytu w kopalni, a ja żyłem jeszcze!

Ale cierpienia moje zwiększyły się w tym czasie!

Dozórca, którego miałem dotąd, przeniesiony został do Petersburga, bo żaden z nich nie potrzebował tu zostawać dłużej, niż dwa lata, podoficerowie zaś mogli już po dwóch latach wystąpić z służby, i brali całą pensyą aż do śmierci. Miałem teraz więc innego dozórcę, ale zmiana ta nie była dla mnie korzystną. Przeszły dozórca był wprawdzie surowy i uważał pilnie, abym pracował od rana do nocy — nie wyświadczał mi też żadnej przysługi, ale był dosyć sprawiedliwy i czasem zdawało mi się, że on nas żałuje! Ale teraz przyszedł na jego miejsce inny, człowiek pragnący się zwierzchnikom swoim przypodobać, i ten obchodził się z nami jak z swymi niewolnikami.

Dotychczas nie bito nas jeszcze, nie zaznaliśmy bata, odtąd jednak zmieniło się wszystko.

Pewnego dnia, gdy ukończyłem wyznaczoną mi pracę i z niecierpliwością czekałem chwili, w której wolno mi iść będzie do mej celi, zbliżył się dozórca do mnie, i spojrzawszy na odrąbany kruszec, krzyknął gwałtownie:

— Nie zrobiłeś tyle, ile ci kazałem! Ale ja cię odzwyczaję od lenistwa! Za dobrze tu macie, gałgany! Nie chce wam się pracować — wolicie siedzieć z założonemi rękami i jeść darmo.... Czekaj.....

I podniósł bat.

Ale ja uchwyciłem jego ramię i szepnąłem przytłumionym głosem:

— Nie bij, bo umrzesz!

W tejże chwili jednak spadł rzemień na moją twarz, uczułem straszny ból i w oczach mi pociemniało. Nie wiedząc, co robię, porwałem siekierę, uderzyłem na oślep i — zabiłem dozórcę!

Leżał on przedemną jak długi — z głowy krew spływała, a ciało już stygnąć zaczynało.

Wiedziałem, co mnie czeka. Kto obrazi słowami dozórcę, otrzyma dwadzieścia batów, kto go zrani, musi pościć trzy dni i trzy noce, a kto go zabije, zostaje ukarany śmiercią. Działo się to zaś w ten sposób, że skazanego na śmierć wrzucano w podziemne labatorjum, w którem czysty już tylko znajdował się merkurjusz. Były tam tak okropne wyziewy, że w przeciągu trzech minut musiał każdy umierać! Robotnicy, którzy tam pracowali, mieli na twarzach maski, chroniące ich od trującej pary. Pomimo to, nie mógł tam nikt dłużej wytrzymać, jak pół roku. Skazanego na śmierć wrzucano tam naturalnie bez maski, a śmierć ta miała być okropną.

Uciekać nie mogłem, to było zupełnie niemożliwe — kopalnia zbyt dobrze była strzeżoną — nie byłbym mógł nawet dostać się na powierzchnią ziemi, bo byłbym musiał użyć windy, przy której stało zawsze kilku żołnierzy z dobytemi pałaszami. Po skale do góry też nie mogłem wejść — łańcuchy moje byłyby mnie bezwarunkowo ściągały na dół, tak były ciężkie.

Nie było dla mnie ratunku! Zaczynałem już myśleć o samobójstwie. Dlaczego miałem czekać na śmierć okropną w celi merkurjuszowej, czemu nie mogłem udusić się łańcuchem, którym ręce i nogi moje były skute?

Ale podczas kiedy się nad tem namyślałem, przyszedł inny dozórca, ujrzał zabitego towarzysza swego i w jednej chwili byłem już tak skrępowany, że musiano mnie zanieść do biura dyrektora. Chodzić było mi niemożliwem. Dyrektorowi musiałem opowiedzieć, dla czego popełniłem tę zbrodnię.

Zbrodnia! Ja nie uważałem czynu mego za coś złego. Dozórca pastwił się nad nami, a zatem — musiał umrzeć. Nie broniłem się też wcale i nie chciałem podpisać żadnego protokołu, pomimo, że dyrektor koniecznie tego żądał.

— Nie podpiszę nic, — rzekłem — dozórca nie żyje, to dosyć!

— Morderca jego też długo żyć już nie będzie, — odpowiedział dyrektor. — Skazuję cię na śmierć za tę zbrodnię! Wyrok ma natychmiast być wykonanym!

— Dziękuję! — zawołałem i patrzałem z wielką przyjemnością na wściekłość dyrektora, który myślał, że upadnę mu do nóg aby prosić o życie!

Teraz zdjęto mi kajdany, sześciu żołnierzy z nabitemi strzelbami wzięło mnie w środek, chemik, dyrektor i odźwierny szli naprzód i tak ruszyliśmy wszyscy do celi żywego srebra, w której miałem umrzeć.

W kopalniach syberyjskich wykonywano szybko wyrok śmierci, nie było tam ani księdza ani nawet czasu na zmówienie pacierza. Im prędzej umierał skazany, tem lepiej — rząd nie potrzebował żywić jednego człowieka więcej.

— Czy rezerwoary są pełne? — zapytał dyrektor chemika.

Miało to znaczyć, czy dosyć jest trujących wyziewów.

— Tak — odrzekł chemik. — Pracowaliśmy tam dziś rano i napełniliśmy rezerwoary.

— Więc dalej! Wprowadźcie skazanego do celi, a pan otwórz wentylę, chcę, aby się to jaknajprędzej skończyło.

Chemik, młody jeszcze człowiek, ukłonił się z uśmiechem, jak gdyby dyrektor był go zaprosił na kolacją, a nie, jak gdyby mu kazał zabić bliźnego!

Teraz otworzono drzwi celi.

— Wejdź, — krzyknął dyrektor.

W tejże chwili uczułem jednak okropny strach. Drżałem jak we febrze, pot wystąpił mi na czoło, gorące łzy spływały mi z oczu i z rozpaczą ukryłem twarz w rękach.

Ale nie miałem czasu nawet do pomyślenia o mojej żonie. Czterech żołnierzy popchnęło mnie tak silnie, że niemal upadłem na ziemię, i zaraz potem zamknięto za mną drzwi.

Zerwałem się jednak jak szalony. Instynkt zachowawczy zbudził się we mnie z całą potęgą — rzuciłem się na drzwi i uderzając w nie z całej siły, krzyczałem:

— Otwórzcie! Otwórzcie! Zmiłujcie się nademną! Nie macie prawa zabijania mnie! Łotry! Nędzniki!

— Otwórz pan wentyle — zawołał dyrektor, w odpowiedzi na moje błagania.

Cofnąłem się od drzwi — bo teraz nie mogło trwać dłużej nad kilka sekund — teraz wyciągał pewnie chemik rękę, teraz chwytał wentyle — jeszcze dwie, trzy sekundy...

— Panie dyrektorze — usłyszałem nagle głos chemika — proszę o chwilkę cierpliwości. Wentyl zdaje się zepsuty — nie funkcjonuje — muszę najpierw zobaczyć, co się stało.

Więc jeszcze kilka minut dłużej żyć będę!

Chemik prosił dyrektora o trochę cierpliwości, nie myśląc o tem, na jak okropne skazuje mnie męczarnie! Jedna taka chwila, to wieczność cała!

Słyszałem, jak chemik zaczął pracować nad wentylem, z pomocą młotka i obcęgów. Potem rzucił narzędzia na ziemię i zawołał zadowolony.

— Skończyłem, panie dyrektorze. Każe pan otworzyć wentyl?

— Tak! — brzmiała krótka odpowiedź.

Zakryłem twarz rękami — okropna chwila nadeszła.

Z rezerwoaru spadła pokrywa i biały dym, a raczej para, zaczęła napełniać celę. Najpierw chciałem się rzucić na rezerwoar i przytłumić rękami ową parę, ale przyszło mi na myśl, że tym sposobem przyspieszyłbym tylko moją śmierć. Im dalej od rezerwoaru, tem dłużej żyć będę!

I schroniłem się w najdalszy kąt celi.

Ale para zwiększała się z każdą prawie chwilą powietrze stało się dusznem, zacząłem się chwiać i upadłem na ziemię. I wiecie, co teraz uczyniłem? Inny byłby może zaczął pacierz mówić, bo tak się też rzeczywiście należało, ale ja zacząłem liczyć — raz — dwa — trzy — i doliczyłem do czternastu — potem czułem, że tracę przytomność. Nagle jednak —

Boże, czy to był sen?

Pokrywa została spuszczoną na rezerwoar, i w tej samej chwili owiał mnie prąd świeżego powietrza.

Teraz też otworzono drzwi celi.

Widziałem, jak na ganku biegli dozórcy i urzędnicy, poznałem dyrektora i chemika, ujrzałem jakiegoś zupełnie obcego mężczyznę w strojnym mundurze, trzymającego list w podniesionej ręce.....

— Wynieście go! — wołał dyrektor, — on jest wolnym — wolnym od wszelkiej kary! Skazano go niewinnie na piętnaście lat robót, i dwa lata już tu przesiedział pod ziemią!

Usłyszawszy te słowa, zemdlałem.

Kamczyk umilkł teraz, i siedział przez chwilę cicho, z spuszczoną głową.

— Dalej ojcze, dalej, — prosiła Kasia, — wytłumacz nam, jak się to stało! Ach ja wiedziałam, że Bóg niewinnych nie opuszcza! Więc znaleziono rzeczywistego mordercę?

— Zaraz, zaraz, moje dziecko! Niewinność moja okazała się w zupełności, — odrzekł Kamczyk, — muszę wam jednak powiedzieć, że stałem się ofiarą podłej intrygi. Cierpiałem tak okropnie dla kaprysu podstarzałej kobiety.

— Jakto? — zawołał Leon.

— Słuchajcie! Gdy więc odzyskałem przytomność, ujrzałem się w pokoju dyrektora, na miękkiem, czystem łóżku, a koło mnie stał jakiś stary, siwowłosy mężczyzna o łagodnej twarzy i trzymał moją rękę.

Był to lekarz z poblizkiego miasta, doktor Kretzer, żyd, który jednak ogólną cieszył się sympatyą.

— Jak się miewacie? — zapytał.

Powiedziałem mu, że czuję się bardzo dobrze, a on dał mi zaraz lekarstwo, usuwające zatrucie żywem srebrem, na które przez mniej więcej dziesięć minut byłem wystawionym.

— Możecie zebrać wszystkie myśli? — mówił doktor dalej.

— Zupełnie! Poznaję pana i słyszę wyraźnie każde słowo. Ale co się ze mną stało? Przecież byłem skazanym na śmierć.

— Tak jest!

— I byłem już w owej straszliwej celi, z której nikt żywym nie wychodzi!

— Tak, byliście tam!

— Potem — ah, przypominam sobie — potem ułaskawiono mnie!

— Nie, nie zostaliście ułaskawionym!

— Jakto? — zawołałem przerażony jego słowami.

— Nie jesteś ułaskawionym, bo żaden człowiek uczynić tego nie może!

— Ani car?

— Ani on! Bo ułaskawić można tylko winnego, a wy mój przyjacielu jesteście niewinnym. Niewinnie skazano cię na roboty w kopalni, niewinnie przesiedziałeś tu dwa lata i o mało byliby cię zabili, bo wy nie popełniliście zbrodni, o którą was oskarzano.

Krzyknąłem z radości i chwyciłem rękę doktora.

— Więc nie jestem mordercą! — zawołałem.

— Nie, — odrzekł, ściskając mi serdecznie dłoń, — wiemy wszyscy, że jesteś uczciwym człowiekiem.

— Czy znaleziono mordercę hrabiny Korsakow? — zapytałem.

— Nie!

— Więc nie wykryto go?

— Nie, i to dla tego, że mordercy żadnego nie było.

Nie wiedziałem, co to ma znaczyć. Nie było mordercy hrabiny Korsakow? Przecież to niemożliwe! Hrabina była przecież zamordowaną, o tem nikt wątpić nie mógł — wszakże ja sam miałem jej pokrajane zwłoki w rękach!

— Widzę, mój przyjacielu, — rzekł znowu doktor, — że muszę wam wszystko jaśniej wytłumaczyć. Hrabina Korsakow zatem nie mogła być zamordowaną, bo ona — żyje!

— Żyje! Ależ to być nie może, — krzyknąłem.

— A jednak tak jest, i wytłumaczę wam, jakim sposobem popadliście w takie nieszczęście.

ROZDZIAŁ LII.

Francuzcy oszuści.

— Hrabina Korsakow jest więc siostrzenicą ministra sprawiedliwości Mikołajewa, a rodzice, którzy wcześnie umarli, zostawili jej ogromny majątek. Majątkiem tym zarządzał wuj.

Hrabina żyła na Krymie w wspaniałym zamku z swoim starym sługą Iwanem i dawniejszą nauczycielką

intrygancką, niemłodą, mniej więcej pięćdziesięcioletnią kobietą.

I ta kobieta postanowiła wyzyskać na swoją korzyść wpływ, jaki na hrabinę wywierała.

Pani Bouchet, tak się zwała owa Francuzka, posiadała syna, imieniem Raymond. Mężem jej był pewien oficer żuawów w Algierze, który opuścił żonę i dziecko, i zmusił tym sposobem biedną kobietę do zajęcia się samej wychowaniem syna, nie mając żadnych ku temu środków. Powiadano nawet, że ślub ich był nieważny, i że ona żadnych do niego praw rościć nie mogła. Pani Bouchet zebrała więc resztki pieniędzy i oddała syna do klasztoru, a gdy tam skończył nauki, wystarała mu się o miejsce w pewnym domu bankowym w Paryżu. Zarabiała na jego utrzymanie lekcjami i nareszcie zdawało jej się, że doszła do celu, dając synowi wcale nie złe stanowisko.

Raymond bardzo był pięknym chłopakiem, o manierach księcia, ale charakter jego był na wskroś zepsutym. Nie trwało długo, a ukradł pieniądze w banku i został skazany na dwa lata więzienia. A gdy go wypuszczono, wałęsał się po mieście, i zamiast zarabiać na życie jakąkolwiek bądź pracą, wyludzał od matki wszystko, co tylko się dało. Pani Bouchet była teraz nauczycielką hrabianki Korsakow i posyłała mu całą swoją pensją, jaką tam pobierała.

Ale Raymond potrzebował coraz to więcej, pisywał ciągle do matki, groził jej samobójstwem i doprowadził do tego, że postanowiła wziąść go do siebie. Pod jej okiem miał żyć odtąd, i w ten sposób miała nadzieję przytłumienia złych jego skłonności.

Pewnego dnia zawakowało w zamku miejsce sekretarza, a pani Bouchet postarała się o nie dla swego syna. Nie sprawiło jej to żadnej trudności, bo siedemnastoletnia wówczas hrabianka Korsakow wypełniała wszystko to, co jej nauczycielka kazała.

Raymond przybył więc, a pani Bouchet, uważająca dotąd pilnie, aby uczennica jej z żadnym młodym nie widywała się mężczyzną, pozwalała jej teraz godzinami przebywać w towarzystwie swego syna. Można się łatwo domyśleć, o co jej chodziło. Niegodziwa ta kobieta chciała koniecznie, aby się hrabianka zakochała w Raymondzie. I stało się tak, jak tego pragnęła.

Hrabiance podobał się piękny, układny Francuz; zbyt była młodą i niedoświadczoną, aby poznać jego prawdziwy charakter, wierzyła w każde jego słowo i pokochała go z całego serca. Matka wychwalała go też naturalnie pod niebiosa i tak nędznicy ci zdobyli sobie łatwowierną dziewczynę i jej miliony.

Ale to jeszcze nie wystarczało podłym tym ludziom. Wiedzieli oni aż nadto dobrze, że minister nie zezwoli nigdy na małżeństwo swej siostrzenicy z jakimś tam przybłędą, i dla tego, chcąc hrabiankę zmusić w jakikolwiek bądź sposób do zaślubienia Raymonda, urządziła wszystko tak, że młoda ta arystokratka i właścicielka miljonów, została tajemną kochanką jej syna.

Nieszczęśliwa dziewczyna nie miała pojęcia o tem, co ją czeka, i gdy nareszcie przyszła nieco do rozpoznania swego położenia, nie mogła się cofnąć, bo już było za późno! —

Na to tylko czekała pani Bouchet.

Zaczęła teraz przedstawiać hrabiance, że jest zgubioną, w towarzystwie niemożliwą, że wszyscy ją wyśmieją i wyszydzą, i że jedynym jej ratunkiem jest, zostać czemprędzej żoną Raymonda. Przy tej sposobności wyznała jej też, że Raymond jest jej synem.

Nie potrzebowała tak bardzo namawiać hrabianki do zaślubienia jej syna — hrabianka kochała go i pragnęła gorąco zostać jego żoną.

Chodziło teraz tylko o to, jak plan ten wykonać! Ślub musiał się odbyć bez wiedzy wuja, a potem trzeba go było zmusić do wypłacenia majątku! Pani Bouchet ułożyła więc plan, na który się zgodzili wszyscy, którzy go mieli wykonać, to jest hrabianka, Raymond i stary Iwan.

Starego tego sługę namówiła także nędzna ta kobieta do zdrady, obiecując mu znaczną sumę pieniędzy..

Plan ten był taki, że hrabianka i Raymond mieli uciekać do Hiszpanji, ale poprzednio miała hrabianka spisać testament, mocą którego przekazywała cały swój majątek pani Bouchet, jako dowód wdzięczności za całą jej miłość i troskliwe wychowanie. Podług prawa rosyjskiego mógł każdy robić z swoim majątkiem, co chciał, bez względu na najbliższych nawet krewnych.

Hrabianka napisała też testament — a jakiś przekupiony notarjusz pomógł jej wszystko załatwić. Za pieniądze można mieć czego się pragnie.

Potem uciekli mieszkańcy zamku na Krymie wszyscy razem, hrabianka, Raymond, pani Bouchet i stary Iwan. Ale nagle okazało się, że potrzebowali paszportów, aby przejechać przez granicę i dla tego trzeba znowu było użyć podstępu, aby wejść w posiadanie potrzebnych dokumentów.

Hrabianka pojechała więc do swego wuja do Petersburga i oświadczyła mu, że zamierza na dłuższy czas wyjechać za granicę, aby zwiedzić mianowicie Włochy i całą południową Europę. W tym celu prosiła o cztery paszporta, dla siebie i dla pani Bouchet, dla służącego Iwana i dla stangreta, imieniem Raymond.

Minister nie mógł naturalnie przeczuć, że podróż ta była tylko pozorem opuszczenia Rossyi.

Kazał więc natychmiast wystawić żądane paszporty, życzył siostrzenicy szczęśliwej drogi, i teraz udała się cała czwórka jak najprędzej ku granicy rosyjsko austryackiej. Ale nigdy nie byłoby im się udało zagrabienie majątku hrabianki, którym zarządzał minister, gdyby nie oszustwo, jakiego się dopuścili.

Istniał przecież testament hrabianki, na mocy którego w razie jej śmierci stawała się pani Bouchet spadkobierczynią całego jej majątku. Aby więc otrzymać te miliony, trzeba było rozgłosić, że hrabianka nie żyje, i teraz to zaczyna się czynność tych niegodziwych ludzi, z powodu których tyle na was spadło nieszczęścia!

Już w Moskwie kupił Raymond ciało jakiejś zmarłej dziewczyny — takie trupy kupowali zwykle malarze i doktorzy mianowicie od katów. Trupa tego wzięli ze sobą do karety, a chcąc zapobiedz prędkiemu zepsuciu ciała, nasypali do miecha wapna.

I tak przybyli do Tarnowa, ale zamiast wjechać do miasta, stanęli w jednej z sąsiednich wiosek. Chodziło im głównie o to, aby miech z trupem wpadł w ręce policyi, tym sposobem rozniosłaby się wiadomość o śmierci hrabianki i doszłaby aż do Petersburga, do uszu ministra.

W tym celu udał się Iwan do przemytnika Bernsteina i polecił mu przeniesienie miecha cukru przez granicę.

Bernstein zgodził się na to, ale ku największemu jego zdumieniu napadli go żandarmi na drodze, którą setki razy odbywał zupełnie bezpiecznie. Zdołał on przecież uciec i przyszedł do was!

Wy odkryliście trupa, chcieliście go wynieźć do lasu i zostaliście schwytanym. Muszę wam jednak wyjaśnić, jakim sposobem żandarmi wiedzieli, tak o zamiarze Bernsteina jak i o waszym, wyniesieniu trupa. Rzecz to zupełnie jasna.

Pani Bouchet sama donosiła o wszystkiem policyi bezimiennymi listami — chciała ona koniecznie, aby trup był w rękach żandarmów, aby nikt o śmierci hrabianki nie wątpił. Bo tylko wtenczas miała prawo do milionów. Niegodziwa ta kobieta kazała Iwanowi zamordować Bernsteina, aby nie zdradził tego, kto mu ów miech wręczył, a gdy znalazła w pugilaresie jego kartkę z waszem nazwiskiem, wiedziała zaraz u kogo się trup znajduje. Została więc kilka dni w Tarnowie, i dziwnym przypadkiem doniosła policyi o waszym zamiarze usunięcia trupa właśnie tego dnia, w którym chcieliście go rzeczywiście zakopać w lesie.

Wszystko jej się znakomicie udało.

Znaleziono trupa u was, podobieństwa nie było już można skonstatować i tak potwierdzono śmierć hrabianki Korsakow. Teraz wystąpiła pani Bouchet z pretensyami do jej majątku.

Minister był naturalnie wielce zdumiony tem, że zmarła jego siostrzenica zapisała wszystko swej nauczycielce, ale testament był ważny i tak wypłacono kilka milionów tej nędznej oszustce.

Tym sposobem stali się awanturnicy francuzcy właścicielami ogromnej fortuny i teraz postanowiła pani Bouchet rzeczywiście opuścić czemprędzej Rosyą.

Najpierw więc udała się do Genuy, gdzie na nią młoda czekała para i tutaj też miał Iwan otrzymać przyrzeczoną summę pieniędzy. Ale nie dostał ich nigdy. Gdy raz bowiem przechadzał się z Raymondem nad brzegiem morza, pośliznął się i wpadł w wodę. Chociaż Raymond rozpaczliwie wołał o ratunek, utonął widocznie nieszczęśliwy, i spieszący na pomoc rybacy nie znaleźli już jego ciała.

Po tym okropnym wypadku wyjechała pani Bouchet zaraz z synem i hrabianką do Hiszpanii i w Madrycie odbył się ślub młodej pary.

Teraz żyli wszyscy w dostatkach i używali w całej pełni wszelkich przyjemności świata.

Raymond i matka jego niezmiernie czuli się szczęśliwymi.

Ale dla biednej hrabianki rozpoczęło się bardzo ciężkie życie. W Madrycie urodziła się też jej córeczka, która wnet jednak umarła, i to zwiększyło jeszcze jej nieszczęście.

Raymond urządził tu dom na stopie wielkopańskiej — kupił jeden z starych zamków, przepełnionych przedmiotami sztuki i zapłacił za wszystko razem dwa miliony pesetas.

Rozrzucał on pieniądze pełnemi rękami, miał przecież jeszcze pięć milionów i był pewien, że pieniądze te nigdy nie będą wyczerpane.

Pani Bouchet pomagała mu dzielnie w trwonieniu — dawniejsza skromna nauczycielka ubierała się teraz w jedwabie, aksamity i brylanty i nic nie było dla niej dosyć dobrem i kosztownem. Wydawała ona olbrzymie sumy i nieraz panowały o to pomiędzy nią a synem gwałtowne kłótnie.

A hrabianka?

Biedna ta kobieta była traktowaną w tym domu gorzej, niż służąca. Ani mąż, ani pani Bouchet, nie dali jej grosza do ręki — trzymano ją w zamku jak w więzieniu, a mąż obchodził się z nią tak, jak już gorzej być nie mogło. Nieszczęśliwa cierpiała okropnie, kochała jednak zawsze jeszcze męża i nie chciała się z nim rozłączać.

Dopóki żyła pani Bouchet, miał Raymond w niej pewien punkt oparcia, bo pomimo swego niegodziwego i podłego charakteru, obawiał się matki i ulegał jej woli. Ale gdy matka pewnego dnia nagle umarła, nie miał on już nikogo, ktoby go mógł powstrzymać na drodze upadku. I teraz zbliżał się koniec jego świetności bardzo prędko.

Zaczął on grać w karty i przegrywał ogromne sumy, a na jednej z sławnych walk byków stawiał tak wysokie zakłady, że tego dnia przegrał pół miliona pesetas.

I tak — pewnego razu odkrył, że owe siedem milionów rubli należą do przeszłości, że nie zostało z nich ani grosza.

I nie tylko to — znalazły się co gorzej, znaczne jeszcze długi, których nie było czem zapłacić.

Wierzyciele opadli go ze wszystkich stron, tak, że gdy na publicznej licytacyi sprzedano zamek i wszystkie dzieła sztuki, nie zostało, po spłaceniu długów, absolutnie nic, ani dla Raymonda, ani dla jego żony.

Teraz stał się Raymond prawdziwie złym duchem tej nieszczęśliwej kobiety.

Bo o pracy on nie myślał. Wynajął raczej piękne mieszkanie, urządził je bardzo kosztownie i otworzył dom gry. — Młoda jego i śliczna żona miała służyć za przynętę, żądał bowiem od niej, aby zachęcała mężczyzn do gry, piła z nimi szampana i kokietowała ich tak, żeby on swobodniej mógł oszukiwać.

I na to zgodziła się biedna, chociaż nie kochała go już wcale.

Cóż bowiem miała robić? Uważała sobie za obowiązek nie opuszczać męża w biedzie, a zresztą, dokąd miała iść, kogo o radę prosić? W Rosyi uważano ją za umarłą, nikt by może nie poznał jej teraz, albo nie chciałby poznać, nie pozostawało jej więc nic innego, jak iść dalej na obranej drodze.

I tak upadała ona coraz to niżej — stała się wspólniczką oszusta!

Na jedno tylko zgodzić się nie chciała.

Zakochał się w niej szalenie jakiś niezmiernie bogaty markiz i ofiarował Raymondowi za odstąpienie żony cały milion pesetas!

Z największą bezczelnością oznajmił Raymond o tem żonie, namawiając ją usilnie do przyjęcia tej propozycyi, ale tym razem trafił na silny opór.

Młoda kobieta najpierw głośnym wybuchnęła płaczem, a gdy się nieco uspokoiła, rzekła stanowczo:

— Nigdy nie uczynię tego, czego odemnie żądasz! Z miłości dla ciebie stałam się żebraczką i oszustką, ale na tem koniec. Na nierządnicę nie poniżę się już, chociażbyś mnie zabił!

I to właśnie, co miało się stać jej zgubą, stało się jej zbawieniem.

Ów stary markiz, który chciał ją kupić za milion marek, był w głębi serca nie złym człowiekiem, pomimo, że taką propozycyą zrobił Raymundowi. Pokochał on rzeczywiście gorąco młodą tę kobietę, i będąc wdowcem, byłby się, uzyskawszy jej rozwód z Raymundem, z nią ożenił. Widząc jednak, że nie osiągnie celu, postanowił zbadać przynajmniej powód jej smutku. Zbliżył się więc do niej, i korzystając z tego, że byli bez świadków, ofiarował jej w serdecznych słowach swoją bezinteresowną przyjaźń i pomoc.

Nieszczęśliwa kobieta wysłuchała go spokojnie i powzięła wielkie do niego zaufanie. Poznała instynktem jego dobre serce i zgodziła się chętnie na spotkanie się z nim, w jakimś ogródku za miastem. Tam chciała mu opowiedzieć smutne koleje swego życia i prosić o radę.

Raymond nie posiadał się z radości. Myślał on, że żona jego zgodziła się nareszcie na żądanie markiza, i że on otrzyma upragniony miljon. Dla niego najważniejszą rzeczą były pieniądze.

W oznaczonym dniu spotkał się markiz z hrabiną w zamiejskim ogródku i tam usłyszał całą prawdę.

Hrabina opowiedziała mu o poznaniu się z Raymondem i intrygach pani Bouchet, a markiz ledwie uwierzył, że mogą być na świecie ludzie tak źli i podli.

— Za nic w świecie, — nie pozwolę pani wracać do tego człowieka! Od tej chwili jesteś pod moją opieką, i zostaniesz u mnie! Więc jesteś hrabianką Korsakow! A wuj pani, jest moim najlepszym przyjacielem!

— Boże Wielki, — krzyknęła hrabina, — co ja uczyniłam! Teraz jestem zgubiona!

— Przeciwnie, ocalona, — odrzekł markiz — przysięgam ci bowiem, że wykryję tajemnicę, jaka cię otacza i postaram się o ukaranie winnych. Przedewszystkiem jednak pogodzę cię z wujem. On jest przekonany, że nie żyjesz — niewinny jeden człowiek cierpi okropnie na Sybirze czy możesz na to pozwolić?

— Nie, nie, — zawołała hrabina, — trzeba go koniecznie uwolnić! Nie wiesz markizie, kto to jest?

— Owszem, przypominam sobie zupełnie dokładnie jego nazwisko. Jest to pewien kupiec z Tarnowa, nazwiskiem, Michał Kamczyk — proces ten interesował mnie wówczas bardzo, bo i ja uważałem go za twego mordercę! A teraz pojedziesz ze mną i proszę cię, uważaj dom mój za własny — żyj w nim, jak ci się podoba. Ja zajmę się twoją sprawą i mam nadzieję, że będziesz ze mnie zadowoloną!

Hrabina tak była dobrocią markiza wzruszona, że ujęła jego rękę i przycisnęła ją do ust.

Markiz Olivarez udał się najpierw do posła rosyjskiego w Madrycie i opowiedział mu całą sprawę. Poseł także nie chciał z początku wierzyć — sądził nawet, że markiz wpadł w sidła zręcznej oszustki, która przypadkiem znała dokładnie stosunki rodzinne hrabianki Korsakow i za nią teraz uchodzić pragnęła. Ale markiz był zbyt pewnym swego, aby dać za wygraną.

— Nie, — rzekł stanowczo, — to co słyszałem z ust tej nieszczęśliwej, jest prawdą, jej niewinna twarz nie kłamie. Pójdź pan ze mną — rozmów się sam z nią, a przekonasz się, że mam słuszność.

Poseł kazał natychmiast zaprządz, pojechał do domu markiza, i po półgodzinnej rozmowie z hrabiną, nie wątpił już wcale o prawdzie. Hrabina znała tak dokładnie swoje stosunki rodzinne, że nie można było ani na chwilę wątpić o jej tożsamości.

Przedewszystkiem wysłano teraz posłańca z listem do cara do Petersburga i z listem markiza do ministra, a potem zabrano się do uwięzienia Raymonda.

Nędznik ten oczekiwał tymczasem powrotu swej żony. Wiedział on, że poszła na schadzkę z markizem i spodziewał się, że wróci z przyrzeczonym milionem.

— Późno już, jedenasta wybiła, — mówił sobie w duszy, — ale to nic nie szkodzi, to dobry znak! Najtrudniej wydobyć od niego pierwszy milion — potem musi dać więcej!

Kilka minut później oznajmił mu służący, że markiz Olivarez przyjechał i chce się z nim widzieć.

— Zaprowadź go do małego salonu, — zawołał Raymond, — ja zaraz przyjdę.

I nie trwało dwóch minut, gdy uśmiechnięty i rozpromieniony witał markiza.

— O, — rzekł z głębokim ukłonem, — jestem szczęśliwy, że pana tu widzę! Ale gdzie moja żona? Czyś pan jej nie przywiózł z sobą?

Markiz spojrzał uważnie na ciemno zieloną portyerę, zasłaniającą framugę w oknie i odpowiedział:

— Muszę panu zaraz wyznać, że wolałem zatrzymać żonę pana u siebie. Za to przynoszę ci przekaz bankowy z moim podpisem na milion pesetas.

Oczy Raymonda błysnęły niepohamowaną chciwością, a ręce drżały mu gwałtownie, gdy je wyciągał po ów przekaz.

Milion!

I podczas kiedy markiz wyjmował pugilares, przebiegło tysiące myśli przez głowę Raymonda.

— Nie zostanę dłużej w Hiszpanii, — pomyślał, — nie czuję się tu zupełnie bezpiecznym, wolę wrócić do Paryża. I ztamtąd mogę wyłudzać od markiza pieniądze! Paryż najodpowiedniejsze dla mnie miejsce pobytu!

— Otóż czek, — rzekł teraz markiz, wyjmując z pugilaresu złożony papier, — przekonaj się pan o prawdziwości mego podpisu własnoręcznego!

Raymond wziął papier, rozłożył go i — krzyknął przerażony.

Na papierze tym następujące znajdowały się słowa:

„Rozkaz aresztowania barona Raymonda za oszustwo, uprowadzenie małoletniej i morderstwo.“

— Co to znaczy? — zawołał, usiłując zapanować nad swojem przerażeniem, — to pewnie jakiś żart.....

— To znaczy, że nareszcie jesteś zdemaskowany, nędzny oszuście, że twoja ofiara jest teraz bezpieczna przed tobą, i że twoja karyera zbrodnicza jest raz na zawsze skończoną. Hrabianka Korsakow żyje, a ty łotrze, który zmarnowałeś jej życie; który oszukałeś władze rosyjskie, i z pomocą twej matki zabrałeś cały majątek żonie, aby go zniszczyć i strwonić, ty jesteś nadto oskarżonym o zepchnięcie w morze służącego Iwana!

Słowa te okropne na Raymondzie wywarły wrażenie. Zbladł on jak trup — ale nagle — rzucił się jednym skokiem ku drzwiom i wypadł do sieni.

Tu jednak stali żandarmi z dobytemi pałaszami.

Widząc, że tędy ucieczka jest niemożliwą, chciał wyskoczyć oknem, ale za portjerą stał ukryty poseł rosyjski, który ukrył się tam, aby słyszeć rozmowę pomiędzy markizem a Raymondem.

Teraz rzucili się żandarmi na złoczyńcę, broniącego się rozpaczliwie, związali go i zawieźli do więzienia.

Tutaj przerwał doktor Kretzer swoje opowiadanie i podał mi kieliszek wina.

— Już nie wiele mi do mówienia zostaje — rzekł po chwili, — wiecie teraz, czemu niewinnie cierpieliście tu, w tem piekle, i dodać tylko jeszcze muszę, że wiadomość o odnalezieniu hrabiny Korsakow niezmiernie w całej Rosyi wywarła wrażenie. Zaledwie car otrzymał list od swego posła w Madrycie, kazał przywołać do siebie ministra Mikołajewa i miał z nim przeszło dwugodzinną naradę.

Wynik narady tej był następujący:

Najpierw trzeba było wysłać natychmiast konnych posłańców na Sybir, aby was uwolnić z kopalni i przywieść do Petersburga, gdzie minister chce się z wami rozmówić. Zapewne was tam hojnie wynagrodzą za poniesione cierpienia i straty majątkowe.

Następnie zwrócił się car do króla hiszpańskiego z prośbą o wydanie Raymonda władzom rosyjskim, a ostatecznie wybrano klasztor, w którym hrabina Korsakow ma przepędzić resztę swego chybionego życia. Raymond znajduje się obecnie tutaj, ma on wasze zająć miejsce i pracować dalej tam, gdzie wy zaczęliście. Hrabina czuje się bardzo szczęśliwą, że będzie jej wolno żyć w ciszy i samotności, ona niczego więcej nie pragnie.. Wy możecie wrócić teraz do domu i tak wszystko się dosyć jeszcze dobrze kończy.

Opowiadanie doktora było skończone.

Jak gorąco dziękowałem Bogu za moje cudowne ocalenie, tego wam opisać nie zdołam! Bo łatwo być mogło, że niewinność moja nigdy by się nie była wykazała, naprzykład, gdyby Raymond był szczęśliwie żył z swoją żoną! Ale Bóg tak urządził w swej niezmiernej dobroci.

Ach, myśl o żonie i dziecku przejmowała mnie rozpaczą. — Agnieszka nie widziała mnie całe dwa lata — może już nie żyła, może wyniosła się z Tarnowa — kto wie, co się z nią stało! A wszystko było dla chciwości jednej niegodziwej kobiety, owej Bouchet.

Zapanowałem jednak nad sobą, nie chciałem narzekać na mój los, Bóg przecież zlitował się nademną!

Pod opieką doktora Kretzera odzyskałem wnet siły i dwa dni później mogłem już puścić się w drogę do Petersburga. O ile dyrektor kopalni był dla mnie dawniej ostrym i surowym, o tyle teraz starał się być uprzejmym. Nie chciał pewnie, abym ministrowi źle mówił o nim i o stosunkach, jakie w kopalniach panują. Gniew ministra bardzo mógł mu zaszkodzić w jego karjerze. Starał się też o to, abym podróż odbywał jak najwygodniej i aby mi na niczem nie zbywało. Dał mi nawet swoje sanki i dwunastu kozaków.

Z doktorem Kretzerem pożegnałem się tak serdecznie jak z najlepszym przyjacielem, i nareszcie wyruszyłem do domu. Ale po kilku dniach jeszcze jednej dziwnej doznałem przygody.

Jadąc przez rozległy step, usłyszeliśmy nagle jakieś okropne krzyki — jak gdyby kogo mordowano. Stanęliśmy naturalnie, wyskoczyłem z sanek, i oczom moim straszny przedstawił się widok.

Dwa wilki napadły jakiegoś na wpół nagiego mężczyznę i szarpały ciało jego ostremi kłami. Daremnie próbował nieszczęśliwy bronić się — wilki tak były zażarte, że nawet przed nami nie uciekały. Kazałem strzelić, i obydwa dzikie zwierzęta padły natychmiast nieżywe, ale i mężczyzna ów był umierający. Był to więzień, skazany na roboty w kopalni, który uciekł. Bóg wie, jak długo się tu już tułał i w jaki sposób stracił swoje ubranie. Leżał on teraz z zamkniętemi oczami na śniegu i ledwie już mógł oddychać.

— Jak się nazywasz? — rzekłem. — Chociaż nie mogę cię ratować, to przynajmniej doniosę o śmierci twej rodzinie lub przyjaciołom....

— Ja nie — mam — nikogo — wyjęknął umierający.

— Jak się nazywasz?

— Raymond!

Wtedy wiedziałem, kogo mam przed sobą!

Ale nie mogłem się już na niego gniewać — los strasznie go ukarał. Wilki syberyjskie pomściły mnie!

Umarł on na moich rękach — zamknąłem mu oczy i kazałem kozakom pochować go pod śniegiem, tak, aby jakie dzikie zwierzęta nie wygrzebały jeszcze jego kości.

Potem pojechałem dalej.

Po drodze myślałem wciąż o tem, czego właściwie chce minister odemnie. Czyżby chciał mi wynagrodzić wszystkie moje straty i cierpienia? Gdyby mi dał pieniądze, to przyjąłbym je z wdzięcznością, bo handel mój bardzo pewnie został zaniedbanym w czasie mej nieobecności, a chociaż za poniesione cierpienia nikt by mi dostatecznie wynagrodzić nie zdołał, to jednak parę tysięcy rubli bardzo by mi się przydały.

Przybywszy do Petersburga udałem się natychmiast do ministra.

Ale minister umarł wczoraj właśnie — przybyłem więc za późno.

Postanowiłem teraz udać się wprost do cara — potrzebowałem koniecznie pieniędzy na dalszą podróż, nie udało mi się jednak uzyskać posłuchania. Ponieważ w tym właśnie czasie odkryto kilka spisków na życie cara, przeto policja śledziła pilnie każdego nowoprzybyłego do stolicy i niektórym zaraz wynosić się kazała. To samo spotkało i mnie, dostałem nakaz policyjny, abym w 24 godzinach opuszczał Petersburg.

Kilku Austryaków zmiłowało się nademną i dało mi trochę pieniędzy, tyle, ile mi było potrzeba na podróż do domu. Inaczej nie byłbym zajechał do Tarnowa, z śmiercią ministra kończyła się rosyjska opieka nademną i byłem pozostawionym zupełnie na łaskę ludzi.

Trudno opowiedzieć, co się w mojem sercu działo, gdy się zbliżałem do Tarnowa, gdy zdaleka ujrzałem las, w którym mnie wówczas schwytano! Wszystko co przeżyłem i przecierpiałem od owej nocy, wydało mi się snem okropnym! Ale twarz moja aż nadto wymownym była świadkiem moich cierpień. Włosy mi zbielały, wychudłem jak szkielet, pożółkłem i liczne zmarszczki zarysowały się koło ust i oczu. Stałem się w ciągu tych dwóch lat starcem, straciłem zdrowie i wszelką chęć do życia.

Pragnąłem tylko ujrzeć raz jeszcze żonę i dziecko i umrzeć.

Na wpół przytomny szedłem przez ulice miasta i zbliżałem się do mego domu. Wszystko tu wyglądało tak, jak

dawniej, żadnej przynajmniej na razie nie zauważyłem zmiany — serce biło mi jak młotem, gdy nagle...

Cóż to, na drzwiach mego domu inne było nazwisko! Obce mi zupełnie.

Wbiegłem prędko do składu, w którym stary jakiś mężczyzna odważał cukier, i rzekłem nieśmiało.

— Wybaczcie, ale powiedźcie mi, czy nie mógłbym się widzieć z właścicielką tego składu, panią Agnieszką Kamczykową? Nie wiem, gdzie jej szukać!

— Właścicielem sklepu jestem ja, — odrzekł stary. — Jeżeli macie mi co do powiedzenia to mówcie, ale prędko, bo nie mam czasu!

— Ale ten sklep należał dawniej do pani Kamczykowej? — zapytałem znowu.

— Tak, zdaje mi się, ale ja kupiłem go z trzeciej ręki!

— Co się stało z Kamczykową?

— Nie wiem!

— Więc to z trzeciej ręki kupiliście, — zawołałem. — Ależ ten sklep, to była prawdziwa kopalnia złota.

— Dawniej — może, ale teraz nie! Od czasu, jak tu ów Kamczyk znalazł trupa, nikt nie chciał towarów kupować. Będę bardzo zadowolony, gdy pozbędę się tego przeklętego domu. Chciałbym go chętnie sprzedać!

Dreszcz mnie przeszedł, gdy usłyszałem te słowa.

— Gdzie jest Kamczykowa? — zapytałem po raz trzeci.

— Nie wiem, niedawno widział ją ktoś w mieście, może mieszka tutaj! Na przedmieściu!

— Jak jej się powodzi?

— Jak się ma powodzić? Co mi tam do tego? Na pieniędzach pewnie nie siedzi — gdyby sobie nie była wzięła takiego łotra, to byłoby jej lepiej, ale......

Nie słuchałem już dalej. Wybiegłem jak szalony i udałem się na przedmieście, gdzie sami tylko nędzarze mieszkali.

Po długich staraniach dowiedziałem się nareszcie, że Kamczykowa mieszka w ostatniej chacie za miastem i z rozpaczą w sercu poszedłem do niej.....

Na moje pukanie odpowiedział mi ktoś — proszę.....

Otworzyłem drzwi i stanąłem jak skamieniały.

Boże mój, na nędznem posłaniu leżała moja Agnieszka, a raczej cień jej — i na pierwszy rzut oka poznałem, że ona umiera!

Ale poznała mnie natychmiast i z cichym okrzykiem radości wyciągnęła do mnie swe wychudłe ręce.

— Przybyłeś nareszcie, — szepnęła, — ach, ja wiedziałam ,że ty o nas nie zapomnisz!

I równocześnie wybiegła mała pięcioletnia dziewczynka i wołając radośnie: — ojcze! ojcze! — rzuciła mi się w objęcia. Podniosłem dziecko, przycisnąłem je do serca, i zaniosłem na łóżko matki, i serdeczny gorący uścisk połączył nas troje nieszczęśliwych ludzi!

Potem dowiedziałem się, że żona moja nie miała pojęcia o tem, co się ze mną w ciągu tych dwóch lat działo.

Nie otrzymała odemnie żadnego listu i zgoła żadnej o mnie nie miała wiadomości.

Urzędnicy rosyjscy mieli widocznie rozkaz niszczenia wszelkich listów, jakie więźniowie pisali.

Ile żona moja wycierpiała! Myślała ona, że ją dla innej opuściłem kobiety, albo że mnie zamordowano tak, jak Samuela Bernsteina. Teraz przekonała się, że wszystkie jej domysły fałszywemi były, ale wycieńczona nędzą i chorobą, nie mogła już odzyskać sił i tydzień po naszem powtórnem połączeniu się, umarła biedna w moich objęciach. Pochowałem ją w Tarnowie i zaraz po pogrzebie, zabrawszy ciebie, poszedłem w świat!

Szedłem, nie wiedząc gdzie i dokąd idę, i tak przybyłem do Horki, i zostałem tutaj. Rozpocząłem nowe życie, ale jakie! Pełne biedy i kłopotów!

Długo musiałem czekać, zanim zdołałem wybudować sobie ten domek — nienawidziłem ludzi i pragnąłem się na nich pomścić za moją krzywdę. Uważałem każdego człowieka za mego nieprzyjaciela, i tym sposobem stałem się rozbójnikiem i złodziejem.

Stanąłem na czele bandy, utworzonej z mieszkańców Horki i napadałem podróżnych — skoro jednak przybył tu hrabia Henryk Orszański, został on naszym dowódzcą, naszym kapitanem. Z radością oddałem mu przewodnictwo, bo poznałem w nim naszego mistrza.

Kamczyk umilkł teraz, a Kasia ujęła jego ręce i całowała je gorąco.

— Czy jesteś rozbójnikiem czy złodziejem, mój ojcze, — szepnęła, — ja cię zawsze równo kochać będę!

Kamczyk przycisnął córkę do serca i siedzieli tak oboje długo, w milczeniu, podczas kiedy Leon po cichu wyszedł z izby. Czuł on, że jest tutaj w tej uroczystej chwili niepotrzebnym.

Nagle spojrzał Kamczyk na zegar i zawołał:

— Ach, trzy kwadranse na dwunastą! Muszę się spieszyć, bo przyjdę za późno! —Pójdę teraz, aby pomścić twój honor, moje dziecko, leśniczy Horn nie dożyje jutrzejszego rana!

Kilka minut później szedł Kamczyk w towarzystwie Leona do zamku.

ROZDZIAŁ LIII.

Przyjaciel młodości.

Na początku dziewiętnastego stulecia było dużo arystokratów polskich, posiadających ogromne bogactwa i zamki i pałace, zbudowane po części w guście francuzkim a przepełnione przedmiotami sztuki, pozwożonemi z najrozmaitszych kraji.

Jeden z najwspanialszych takich zamków był własnością księcia Adama Starzyckiego. Leżał on także w Tatrach i to w blizkości Horki, z którą graniczył z jednej strony, podczas kiedy z drugiej sąsiadował z posiadłościami hrabiego Dernburga. Ojciec księcia Adama zbudował ten zamek i tutaj przepędził książę Adam dziecięce swoje lata w zupełnej swobodzie. Biegał on po górach i lasach całemi dniami, zbierał kwiaty i motyle, później polował na dziki i wilki, i tutaj też poznał po raz pierwszy uczucie miłości. Ale w ustronnym tym zamku odegrał się też dramat, z powodu którego książę Adam, posiedziciel milionowej fortuny stał się bezdomnym żebrakiem.

W jego zamku bowiem zbierała się młodzież, marząca o odbudowaniu Polski. Większa część Polaków nie mogła się przyzwyczaić do myśli służenia carowi, i chciała odzyskać dawną niepodległość! Gromadzono się więc tutaj po nocach i radzono nad sposobem zrzucenia jarzma i oswobodzenia ojczyzny, ale wszystko wykryło się wkrótce i skutki tych usiłowań były nader smutne i dla spiskujących i dla całego narodu.

Książę Adam musiał uciekać, a na głowę jego nałożono cenę dosyć wysoką, aby zachęcić innych do zabicia go.

Wszystkie jego posiadłości, pomiędzy temi również zamek w Tatrach, przeszły na własność rządu.

Zamek stał się później własnością barona Krausneka, mieszkającego obecnie w Paryżu. Krausnek nie chciał żyć tutaj, może dręczyło go wspomnienie przeszłości, bo jego to zasługą było wykrycie spisku i wypędzenie właściciela domu, w którym miał miejsce jego zając . Może też jednak skłoniły go inne powody do opuszczenia zamku, dosyć, że oddał cały zarząd majątku leśniczemu Hornowi i przeniósł się do Paryża.

Horn przybył w tę okolicę razem z swym panem. Jedni mówili, że to człowiek bardzo wykształcony, i przyjaciel barona, inni twierdzili, że on ledwie czytać i pisać umie i że był dawniej kamerdynerem barona. Ale wszyscy drżeli przed nim — przed jego brutalnością i bezwzględnością, i zapominali, że on nie był dziedzicem, tylko administratorem zamku Łąka.

Tego wieczora, kiedy Kamczyk opowiadał Kasi i Leonowi historyą swego życia, i kiedy czyniono przygotowania do napaści na zamek, siedział Horn w wspaniałej jadalni w zamku i pił jeden kieliszek wina po drugim.

Zamek Łąka zbudowany był w guście francuzkim i miał dwa piętra nad któremi wznosiła się piękna kopuła. Schody wszędzie były marmurowe, bramy złocone i werandy zastawione najpiękniejszemi kwiatami.

Na dole znajdowały się trzy ogromne salony: sala przyjęć, biblioteka i sala balowa, na pierwszem piętrze były, sale jadalne, a na drugiem leżały pokoje sypialne.

Urządzenie salonów pozostało nietkniętem, tak, jak je zostawił książę Adam. Horn musiał też na wyraźne życzenie barona utrzymywać wszystko w porządku, więc wszędzie wyglądało tak ,jak gdyby tu mieszkał sam właściciel.

Horn znajdował się obecnie w jadalnym pokoju na

pierwszem piętrze i był zupełnie sam w całym zamku. Na stole przed nim stały dwie butelki ciężkiego wina, z sklepu barona, a on pił i pił, i był na najlepszej drodze wypróżnienia obydwóch butelek.

Horn był dosyć przystojnym mężczyzną: wysoki, barczysty, miał twarz czerwoną, otoczoną bujnemi, ciemnemi włosami, i ogromny wąs, zakręcony z fantazyą do góry. W każdym razie osoba jego nie nadawała się do tego wytwornego zamku, w którym żyli niegdyś arystokraci z krwi, wychowania i charakteru — Horn byłby w skromnym domku korzystniej się może przedstawiał, niż tu, w wspaniałym salonie.

— Kasia ładną była dziewczyną, — mówił teraz półgłosem, stawiając kieliszek na stole, — i żal mi, że musiałem z nią skończyć, ale ona myślała, że ja się z nią ożenię! ha, ha, ha! Ani mi się śniło o tem! Ciekawy jestem, czy rzuciła się do wody czy też poszła w świat, aby się z ojcem nie spotkać..... ba, cóż mnie to obchodzi! A chociażby nawet poskarżyła się ojcu i on by tu przyszedł do mnie z jakiemiś żądaniami, to wyrzuciłbym go z domu tak, jak wyrzuciłem jego córkę!

Na dworze wył szalony wicher i zginał aż do ziemi wierzchołki drzew.

Horn wstał i zbliżył się do okna.

— Coraz bardziej wiatr się wzmaga, — pomyślał, — strumień szumi tak, aż go tutaj słyszę, a to zawsze przepowiada wielką niepogodę.

W tejże chwili dało się słyszeć głośne pukanie do drzwi na dole.

— Kto to może być? — zawołał mimowoli głośno. — Nie oczekuję gości, a obcych nie przyjmuję. Czyżby to miał być Kamczyk? No, trzeba go przyjąć, jak się należy.

I wziąwszy nabity pistolet i szpicrutę, leżącą na stole, poszedł na dół.

Horn urządził sobie mieszkanie na pierwszem piętrze, wybierając kilka najpiękniejszych pokoi. W jadalnym salonie pozawieszał na ścianach mnóstwo rogów i broni, tak, że potrzebował tylko rękę wyciągnąć, a już miał albo pistolet, albo fuzją lub nóż myśliwski.

Pukanie stawało się coraz głośniejszem.

— O, jaki niecierpliwy, — roześmiał się Horn — widać, że mu spieszno do otrzymania batów lub kulki! Ale jaka śmiałość! On woła moje nazwisko!

Horn wziął teraz lampę, stojącą w sieni na stole, i zbliżył się do drzwi, żelazem okutych.

— Kto tam? — zapytał, nie chcąc otwierać prędzej, zanim się nie dowie, kto pragnie się z nim widzieć.

— Jesteś pan leśniczy Horn? — odrzekł głos męzki z za drzwi.

— Tak! Ale kto wy jesteście?

— Otwieraj, Horn, stary przyjaciel chce się z tobą widzieć!

— To każdy może powiedzieć. O ile wiem, nie posiadam żadnego starego przyjaciela. Wymień twoje nazwisko!

— Mam powody do zatajenia mego nazwiska, ale nie wiedziałem, że ten Horn, którego znałem niegdyś, i którego się wszyscy w Wiedniu obawiali, został na stare lata tchórzem!

— Do stu piorunów! — krzyknął Horn, — tchórzem mnie nazywasz? Teraz muszę cię zobaczyć — bo za tę obelgę otrzymasz karę, jeżeli nie żartowałeś!

Mówiąc to, odsunął rygiel i otworzył drzwi, a na progu stanął wysoki, szczupły mężczyzna, w długim ciemnym płaszczu i wielkim kapeluszu, naciśniętym na twarz tak, że całą ją prawie zasłaniał.

Horn cofnął się i patrzał uważnie na dziwnego gościa. Podniósł nawet lampę wyżej — ale pomimo to nie mógł dojrzeć twarzy i rozpoznać rysów nieznajomego.

— Pozwól mi przedewszystkiem zamknąć drzwi, — rzekł gość, i zamknął je rzeczywiście, — nie trzeba, aby kto mnie widział wchodzącego tutaj!

— Ach, ten głos! — zawołał teraz Horn — znam go — słyszałem go niegdyś — brzmi on mi w uszach doprawdy z dawnych czasów.....

— Czasy te minęły, ale przyjaźń nasza została, — odrzekł nieznajomy. — Nie poznajesz mnie?

Gość zrzucił nagle kapelusz i spojrzał z uśmiechem na leśniczego.

— Bondi! — krzyknął Horn, a ręka, w której trzymał lampę, zadrżała gwałtownie, — tak, to ty, albo też szatan wcielony! Bondi!

— Tak, to ja. — odrzekł baron, podając mu rękę. — Nie poznałeś mnie jeszcze?

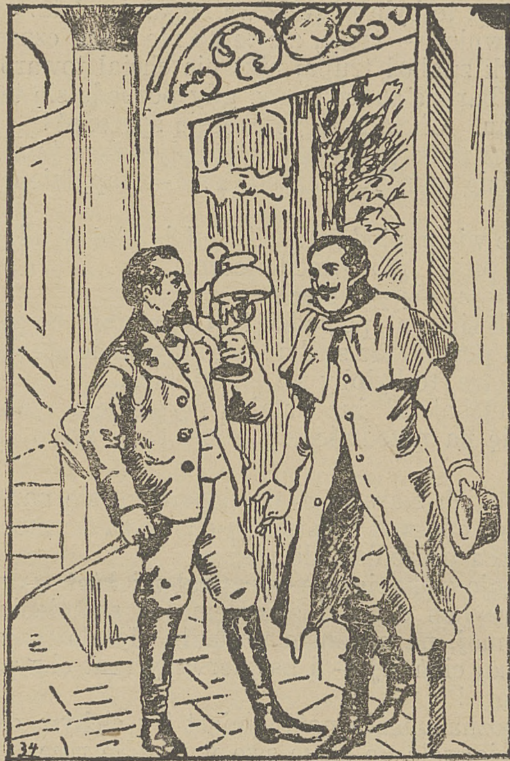
Horn nie mógł wyjść z zdumienia i patrzał ciągle na barona, jak na jakieś zjawienie.

— Ty u mnie, — zawołał nareszcie. — Nie spodziewałem się tego nigdy w życiu! Ale idźmy teraz do mego pokoju na górę.

Bądź co bądź, witam cię serdecznie w moim domu!

Gdy przyszli obydwaj do sali jadalnej, postawił Horn lampę i uścisnął przyjaciela.

— Ile to już lat minęło, — rzekł Bondi rzucając płaszcz swój na kanapę, — od naszego ostatniego widzenia się! Byliśmy wówczas w Wiedniu! Studjowaliśmy razem



Bondi! — krzyknął Horn, a ręka, w której trzymał lampę, zadrżała gwałtownie, — tak, to ty, albo też szatan wcielony! Bondi!

i razem biliśmy zawzięcie nieznośnych filistrów, którzy się ciągle tylko uczyli, nie używając żadnych przyjemności świata!

— Dla tego też nie stoimy dziś wysoko, — odparł leśniczy. — Ty przynajmniej nie wyglądasz tak, jak gdybyś siedział zawsze przy pełnej misce!

— Raz pod wozem, raz na wozie, jak los zrządzi! Nie szemrzę, gdy fortuna o mnie zapomina, ale przypominam jej się sam i pomagam sobie ,jak umiem. Tobie za to doskonale się wiedzie -- jesteś tu panem — mieszkasz w pięknym zamku — jesteś wdowcem ,jak słyszałem — więc jesteś pod każdym względem szczęśliwym człowiekiem.

— Tak jest! — odrzekł leśniczy. — Przedewszystkiem jednak musimy wypić na twoje zdrowie, stary przyjacielu! A więc na naszą przyjaźń, na twoje zdrowie i na dawne czasy!

Horn nalewał kieliszki i trącał ciągle z baronem, zachęcając go do picia.

— Nie masz troche zimnego chociaż mięsa i kawałek chleba? — zapytał Bondi. — Jestem bardzo głodny!

— Naturalnie, przyniosę ci zaraz wszystko, co mam. Wczoraj uciekła mi służąca, ale jakoś damy sobie radę.

I poszedłszy do spiżarni, przyniósł mięsa, chleba i masła i przygotował wyśmienitą kolacją.

Bondi zajadał z wilczym prawdziwie apetytem, Horn zaś przyglądał mu się z natężoną uwagą.

Zdawało się, że on wcale jeszcze nie może wierzyć, aby to był Bondi, cieszył się jednak, że znalazł człowieka, z którym go niegdyś łączyły więzy przyjaźni oraz występku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)